



Miejska Biblioteka Publiczna
w Tarnowie

Dział Starych Druków



0241-001137-00



W. SZEKSPIR.

KRÓL LIR

Tragedja w pięciu aktach

PRZEKŁAD

ADAMA PŁUGA.

(Cena 4 zł. pol.)

L W O W.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA MRÓWKI
Z drukarni K. Gromana pod zarządem A. Skerla.
1871.

SKŁAD GŁÓWNY: CEBETINER & WOLFF
W WARSZAWIE

KRÓL LIR.

KRÖL LIR

KRÓL LIR

TRAGEDJA SZEKSPIRA

W 5 AKTACH

PRZEŁOŻYŁ

ADAM PŁUG.

Wyp. dla Dor.



13022426

LWÓW.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA MŁÓWKI.

Czcionkami Dra H. Jasińskiego.

1870.



821. M-2

SDh-1137

820-2

Szc

K101

Miejska Biblioteka Publiczna
Im. Juliusza Słowackiego
Staszice 6; - tel. 491

~~L 27559~~

~~P-OK nylw~~

PD-373

P/110/2018

BŁOGIM WSPÓŁTOWARZYSZOM W NAUCE ANGIELSKIEGO
JĘZYKA Z 1864 ROKU.

POŚWIECA

PRZEMACZ.

WOCIEK WAPOTON HANIZOM N. N. (1921-1922)

WOCIEK WAPOTON HANIZOM N. N. (1921-1922)

WOCIEK WAPOTON HANIZOM N. N. (1921-1922)

WOCIEK WAPOTON HANIZOM N. N. (1921-1922)

O S O B Y:

Lir, król brytański.

Król francuzki.

Książę burgundzki.

Książę Kornwalji.

Książę Albanji.

Hrabia Kent.

Hrabia Gloster.

Edgar syn Glostera.

Edmund, naturalny syn tegoż.

Kuran, dworzanin.

Doktor.

Błazen.

Oswald, marszałek dworu Goneryli.

Herold.

Starzec, dzierżawca w hrabstwie Glostera.

Goneryla

Regana

Kordelja

} córki Lira.

Rycerze z orszaku Lira, słudzy księcia Kornwalji, Dworzanie, Rotmistrze, Żołnierze, Goście i. t. p.

Rzecz dzieje się w Brytanji w XXXII wieku świata.

AKT I.

Scena I.

WCHODZĄ KENT, GLOSTER I EDMUND.

(Sala w pałacu króla Lira.)

KENT.



jam zawsze tak mniemał, że książę Kornwalji
Milszym był, niż Ateński naszemu królowi.

GLOSTER.

Tak zaprawdę dotychczas wszyscyśmy trzymali;
Lecz od kiedy król podział królestwa stanowi,
Nie widać, by mu droższym był który z nich obu;
Gdy obie połowice tak są rozważone,
Iż oko najciekawsze nie znajdzie sposobu,
Jak zgadnąć, w którą szala przychyli się stronę?

KENT.

Czy to syn twój Milordzie?

(wskazuje na Edmunda.)

GLOSTER.

Tak jest, jam go spółdził...

By go przyznać, tak często w ogień wstydu chodził,
Żem się już zahartował na to do ostatka!....

KENT.

Nie mogę cię zrozumieć Milordzie.

GLOSTER.

Lecz matka

Tego chłopca, mój Panie, mogła w owej porze,
Gdy jej łono wezbrało, gdy, rada nie rada,
Wprzód ujrzała kolebkę niż medeńskie łożo,
Wprzód syna, niżli męża!... Omyłka nie lada!

KENT.

Odemnie wszakże za nią nie spotkasz nagany,
Gdy oglądam jej owoc taki przyzwoity.

GLOSTER.

Jest u mnie drugi chłopak, syn mój prawowity,
Starszy odeń, nie więcej jednak ukochany.
Łotr ten wprowadzie beczelnie, zakazaną drogą
I nie w porę wpadł na świat, ale na mą duszę!...
Cudnie piękną miał matkę! Spojrzawszy nań, błogo
Przypomnieć krewkość swoją, i przyznać go muszę!...
Edmundzie! czy ci znany ten Pan?

EDMUND.

Nie mój Panie!

GLOSTER.

Lord Kent. Niechaj ci odtąd w pamięci zostanie,
Jako druch mój czcigodny.

EDMUND.

Sługa wasz powolny!

KENT.

Chcę cię kochać Edmundzie, i z góry już wierzę,
Że skoro poznam lepiej, pokocham cię szczerze.

EDMUND.

O gdybym waszą łaskę zasłużyć był zdolny!

GLOSTER.

Za granicą lat dziesięć wśród szlachetnej młodzi
Spędził i znów sam wraca.

(Odgłos trąb za sceną.)

Owoż król nadchodzi

Wchodzą król, ks. Kornwalji, ks. Albanji, Goneryla, Regana,
Kordelja i dworzanie.

LIR.

Wnet tu książę Burgundzki i król Franków stanie;
Pójdź ich spotkać Glosterze!

GLOSTER.

Spieszę, królu Panie!

LIR.

Tymczasem dam wam poznać skryte swe zamiary.
Podajcie mapę! Oto cały kraj na troje

Rozdzieliłem, bo mocno przy tej myśli stoję,
By od wszelkich już trudów zwolnić wiek swój stary
Lepiej się z tem brzemieniem sprawią młode siły,
A ja lżej się dowlekę bezeń do mogiły.
Wy księżęta Albanji i Kornwalji, mili
Synowie moi! Niechże wam tutaj w tej chwili,
By uprzedzić na przyszłość niechęci i waśnie,
Wolę mą względem wiana córek swych wyjaśnię.
Burgundzki i francuzki księżęta, co w sporze
O trzecią córkę moją, czasu już nie mało
W miłośnej tu gościnie bawią na mym dworze,
O swych losach też prawdę wnet usłyszą całą.
Powiedzcież drogie córky, kiedy mym zamiarem
Zrzec się dziś władzy, ziemi i trosk wszystkich społem;
Z której serca największy skarb miłości wziąłem,
Bym go spłacił największym najgodniejszej darem?
Mów pierwsza, pierworodna moja Gonerylo!

GONERYLA.

O panię! usta moje daremnie się silą
Powiedzieć, jak cię bardzo kocha twoje dziecko!
Tyś mi droższy niż światło, powietrze, swoboda!
Droższy nad wszystko drogie i świetne na świecie!
Droższy niż zdrowie, życie i cześć i uroda!
Ja cię kocham, jak żadne dziecko nie zdołało,
Żaden ojciec nie doznał! W piersiach tchu za mało
Na tę miłość, i język ludzki za ubogi!
Tak cię kocham, tak bardzo kocham, ojczy drogi!

KORDELJA (n. s.)

Cóż ja począć mam? Kochać, milcząc jak zaklęta!

LIR.

Cała w tych tu obrębach kraina zamknięta,
Od tych granic aż do tych, tobie się dostanie.
Żyźne grunta, rozległe łąki, rybne rzeki
I lasy pełne zwierza, w potomne władanie
Z małżonkiem swym Albańskim masz objąć na wieki.
Z czemuż się nasza druga córka nam pochwali?
Mów Regano małżonko, książęcia Kornwalji!

REGANA.

Jam z tegoż, co i siostra kruszcu urobiona,
I również z nią się cenię. Co wyrzekła ona
To wszystko ja dla ciebie w mojem sercu mieszczę...
Lecz nie! tego za mało! więcej, więcej jeszcze!
Bo ja nie chcę znać szczęścia nie chcę znać radości.
W najmilszych nawet uczuć rozkosznej dziedzinie;
Bo wszystka moja radość i szczęście, jedynie
W twojej, o panie, miłości.

KORDELJA (n. s.)

A więc biedna Kordelja! ach czemuż, mój Boże,
Język mój sprostac serca bogactwu nie może!?

LIR.

Tobie, na własność twoją wiecznym daję darem
Tę trzecią część mej pięknej krainy, obszarem

Ni bogactwem, ni wdziękiem swym nie niższą wcale
Od tej, co Generyla dostała w udziale.

A ty, moja pociecho, ty, ostatnia rodem,
Nie miejszem w mojej duszy, ty, co sercem młodem
Masz tu mleko burgundzkie i francuzkie wino
Do wyboru, gdy płyną w zawody ku tobie,
Cóż mi powiesz, bym mógł cię obdarzyć dziedziną
Wspanialszą niżli wzięły twoje siostry obie?

KORDELJA.

Nic, panie mój!

LIR.

Co? nic?

KORDELJA.

Nic!

LIR.

Z niczego nic bywa!

Ostrzegam cię! Mów jeszcze!

KORDELJA.

O ja nieszczęśliwa!

O gdyby w usta przenieść serce można było!

Panie! kocham cię całą obowiązku siłą,

Ani mniej, ani więcej!

LIR.

Co? co?!.. waż twoje słowa,

Kordeljo! boś tak wszystko utracić gotowa!

KORDELJA.

Tyś mię zrodził, wychował i ukochał szczerze;
Ja ci splacam dług święty w sprawiedliwej mierze
Posłuszeństwem, czią wielką, miłością dziecięcą.
A siostry me, gdy całą duszę tobie świecą,
To czemuż za mąż poszły? Mnie jeśli za żonę
Ktoś pojmie, to mu z wiarą będę winna przecie
I miłość i opiekę; gdybym więc, jak one,
Ojca miała ukochać jedynie na świecie,
To mężowi ślubować nie byłabym w stanie.

LIR.

Z sercaż to mi powiadasz?!

KORDELJA.

Z serca dobry panie!

LIR.

Tak młoda, a nie czuła!

KORDELJA.

Tak młoda a prawa!

LIR.

Niechże ci twoja prawość i za wiano stawa!
O! bo ja, przez te święte słoneczne promienie,
Przez wszystkie tajemnice Hekaty i cienie
Przez cudowne obroty tych gwiazd na błękicie,
Co swym wpływem nam dają jak i biorą życie,
Tu się zrzekam mej całej ojcowskiej opieki,
Węzłów krwi i praw rodu, i odtąd na wieki

Uważam cię, jak obcą. Barbarzyński Scyla,
Lub ów, co, by nasycić żarłoczne jelita,
Z własnych dzieci wyprawia sobie ucztę krwawą,
Tak mi blizki, toż w sercu mojem dziś ma prawo,
Co ty, niegdyś na curka!

KENT.

Miłościwy panie!

LIR.

Milcz Kent! a nie drażń smoka, co się w gniewie miota!
Ach! w niej było największe moje ukochanie!
W niej nadzieja na resztki mojego żywota.
Pod jej czułą opieką! (do Kordelji)

Precz z mego oblicza!

A niech mi tak Bóg w grobie spokoju użycza.
Jako w ojcu już dla cię odtąd serca nie ma
Idź do twego Burgunda! nikt cię tu nie trzyma!...
Idź do Franka! — a przy was, Kornwale Albanie,
Z działem dwóch moich córek i trzeci zostanie.
Ją niech pycha zaślubi, którą zwie szczerością!..
Was oblekam swą całą władzą i godnością
I wszystkim, co w królewskim majestacie leży.
Sobie wymawiam tylko oddział stu rycerzy
Na waszym wspólnym żoldzie, i chcę, na przemianę,
Co miesiąc u was w miłej zabawiać gościnie;
A z całej królewskości tytuł mi jedynie
I względy pozostaną, z tytułem związane.
Rząd, intraty, i całe władzy wykonanie,

To już wasze wyłącznie, najmilsy synowie,
Co by stwierdzić, to złote godło po połowie
Rozdzielcie między sobą. (oddaje im koronę)

KENT.

Najjaśniejszy panie!

Któregom czcił jak króla, kornie gnąc kolana,
I kochał jako ojca, i słuchał jak pana,
I w modłach jak wielkiego wspominał patrona!...

LIR.

Łuk zgięty już się przeży! umykaj od strzały!

KENT.

Puść ją! niech się żelezce wrazi mi do łona,
W samo serce! Ha, niechże Kent będzie zuchwały!
Gdy Lir szalony! Starcze! hamuj swe zapędy!
Czy myślisz że sumieniu odwagi zabraknie
Rzec prawdę, gdy pochlebstwa tylko władza łaknie?!
Cześć mi szczerym być każe, nie bacząc na względy,
Gdy majestat się błażni. Wstrzymaj wyrok panie!
Daj niech się opamięta krewkość twoja płocha!
A ja życiem ci ręczę za to przekonanie,
Że najmłodsza twa córka nie najmniej cię kocha.
Bo nie braknie tam serca gdzie głos nie ma siły
Rozledz się, jako echo, co się w pustkach szerzy.

LIR.

Ani słowa już więcej, gdy ci żywot miły!

KENT.

Żywot mój nie od dzisiaj nie do mnie należy, —
Tobiem go dał od wrogów twoich za tarczą; —
Niechaj pęka! ja śmierci wcale się nie boję,
Gdy idzie o twoje dobro.

LIR.

Precz z mych oczu!

KENT.

Lirze!

Bacz lepiej! każ mi zostać, a niech oczy twoje
Patrzą we mnie jak w tęczę!

LIR.

Przez Bóg żywy w niebie!....

KENT.

Przez Bóg żywy, dziś królu, Bóg nie słyszy ciebie!

LIR.

Ha! nikczemniku! (porywa za miecz)

ALBAN I KORNWAL.

Przebacz mu łaskawy Panie!

KENT.

Uderz! zabij lekarza, a niech tej ofiary
Dość już będzie chorobie twojej! Odwołaj dary!
Albo, póki mi tylko głosu w piersiach stanie.
Wołać będę: to zbrodnia!

LIR.

Słuchaj, zdrajco podły!

Na twą lenną przysięgę, słuchaj, coć obwieszczę:

Ześ się ważył nastawać przez groźby i modły,
Abym (czegom się nigdy nie dopuścił jeszcze)
Złamał święte swe śluby, — żeś powstał zuchwale
Na mą władzę i wolę (czyn, jakiego wcale
Ni jak król ni jak człowiek znieść nie mogę) za to
Słuszną ci mój majestat odwdzięczy zapłatą; —
Odbierz na coś zasłużył: pięć dni na toć daję,
Byś się w świat zabezpieczył na żywot tułaczy;
Szóstego, niech już państwo moje nie zobaczy
Obmierzłej twojej twarzy! a jeśli w te kraje
Za dni dziesięć przywleczesz swe cielsko wyklęte,
Śmierć tobie! Precz! na świadki Boga wzywam święte,
Wyrok to nieodmienny!

KENT.

Bądź zdrów, królu panie!

Gdy tak sobie poczynasz w szalonym zapędzie,
Wolność żyje gdzie indziej, a tu jest wygnanie....

(do Kordelji.)

A tobie niech Bóg dobrym opiekunem będzie,
Dziewico, co sąd prawy i szczerą masz mowę.

(do Regany i Gomeryli.)

Wy zaś, obyście byli zarówno gotowe
Na czyny, jak na uczuć oświadczenia głośne,
I oby z słów miłości szły skutki radośne!
Temi dziś, o książęta, Kent was żegna słowy.
Starą on drogą życia pójdzie przez kraj nowy.

(wychodzi)

Wchodzą Gloster, król francuzki, książę burgundzki, dworzanie.

GLOSTER.

Książęta Frank i Burgund, Najjaśniejszy panie!

LIR.

Książę Burgundzki! najpierw dla ciebie pytanie,
Ty, co idziesz w zawody z możnym Franków panem
O miłość mojej córki, z jakim najmniej wianem
Chcesz ją mieć, aby spełnić swadziebne zamiary?

KS. BURGUNDZKI.

Najmiłościwszy Panie! dość mi będzie tyle,
Coś przeznaczył; wszak pewno nie zmniejszysz ofiary?

LIR.

Cny Burgundzie! inaczej rzecz się ma w tę chwilę.
Póki mi była droga, była w wielkiej cenie,
A dziś bardzo staniała! Patrzaj, oto ona!
Oto jest to miluchne, zwodnicze stworzenie!
Jeśli coś w niej, lub wszystko, jeśli obleczonea
W łachman wstępu mojego, miła ci w tej dobie,
Wyzuta ze wszystkiego, — twoja! bierz ją sobie!

KS. BURGUNDZKI.

Cóż mam rzec?

LIR.

Chceszli, książę, z jej upośledzeniem,
Tę córę nienawiści mej nowo przybraną
Którą pobłogosławię tylko złorzeczeniem,

Której tylko przekleństwo dam za ślubne wiano,
Chcesz li wziąć lub porzucić?

KS. BURGUNDZKI.

Wybacz królu panie
Lecz przy takich warunkach nie łatwe wytrwanie!

LIR.

Więc ją rzuć, bo na stwórcę mego na niebie,
To jej całe bogactwo!

(do króla francuzkiego.)

Królu, co do ciebie,

Nie życzę byś zaślubił w miłośnym hazardzie
Tę, którą w nienawiści mieć muszę i wzgardzie.
Niech godniejszy cel znajdzie czułość twoja młoda,
Nie tę dziewczkę, za którą sroma się przyroda,
Że ją na świat wydała.

KRÓL FRANCUZKI.

O zgroza! o dziwy!

Jakto, coć dotąd była najdroższym klejnotem,
Twoją chlubą, pociechą na twój wiek sędziwy,
Najlepszą i najmilszą, — nagłym uczuć zwrotem
Tak potwornie odmienić mogła serce twoje,
Że w mgnieniu oka pierzchły odeń łask twych roje?
O zaprawdę, być musi winna to straszliwa,
Przez którą z niej się stała tak dzika poczwara,
Lub twoja dawna miłość nie była prawdziwa.
Mogęż w pierwsze uwierzyć? O nie! taka wiara
Bez cudu do mej duszy nie wstąpi.

KORDELJA.

O panie!

Choć mi brak słodkich słówek na nieszczerę mowę,
Choć myśl szczerą się prędzej czynem u mnie stanie,
Niż ją zdołam dzwiecznemi wypowiedzieć słowa,
Błagam cię, powiedz Panie, ach powiedz przynajmniej,
Że żaden niegodziwy czyn nie ciąży na mnie!
Żem niewinna krwi ludzkiej, żem wolna od zmazy
I niczem nie zhańbiona! że twojej obrazy
I utraty twych względów powód ztąd wynika,
Żem uboga w to, przez co mam się za bogatszą,
Ze mi brak takich oczu, co to czule patrzą
Choć w duszy czucia nie ma, i tego języka,
Jakiego, że mi nie dał Bóg, dzięki mu za to,
Choć to dzisiaj opłacam twej miłości stratą!

LIR.

Obyś się raczej nigdy na świat nie rodziła,
Ty, co ojcu własnemu nie umiesz być miłą!

KRÓL FRANCUZKI.

A więc całą przyczyną niełaski i wstrętu
Jest tylko ta powolność jej temperamentu,
Z którą nie wszystko powie co uczynić rada?
I cóż jej na to książę burgundzki powiada?
Miłość nie jest miłością, skoro jest związana
Z zewnętrznymi względami. Chcesz ją mieć? Jej wiano
Znajdziesz w skarbach jej duszy.

KS. BURGUNDZKI.

Najjaśniejszy panie!

Daj tylko, coś jej wprzódty dać miał w ślubnem wianie,
A jak księżnej burgundzkiej, dam jej rękę swoją!

LIR.

Nie! przysiągłem i twardy jak skała w tem stoje!

KS. BURGUNDZKI.

A więc boleję, pani, że tracąc rodzica,
I męża tracić musisz.

KORDELJA.

O! Bóg z tobą księżu!

Czyją miłość fortuna tylko moja wiąże,
Temu nie być mym mężem!

KRÓL FRANCUZKI.

O ty jasnelica

Kordeljo! tem bogatsza dla mnie, im uboższa,
Im więcej opuszczona, tem mi jeszcze droższa,
Im bardziej pogardzona, tem kochana bardziej
Tyś moja z całym skarbem cnót swych! ja cie biore!
Wszak mam prawo to zabrać, czem kto inny gardzi?...
O dziwy, jak me serce od ich chłodu gore
Ogniem czci i miłości!... Królu! twa wyklęta,
Bezposażna twa córka, szczęściem na mnie spadła,
Mną i całym mym ludem, i Francją zawładła!
Królową jest! a wszystkie burgundzkie księżęta,

Za wszystkie skarby swojej bogatej ziemi
Tej już nieocenionej nie kupią dziewicy!...
Pożegnaj ich, Kordeljo, choć nie dobrzy dla cie
Z tem, co zyskasz, zapomnisz o obecnej stracie.

LIR.

Bierz ją sobie, bo przy mnie dla niej miejsca nie ma,
I nigdy już nie ujrzę swojemi oczyma
Nienawistnej jej twarzy! Precz z tą, a daremnie
Łaski, błogosławieństwa nie czekaj odemnie!...
Pójdź cny Burgundzie! pójdźmy...

(głos trąb, wychodzą Lir, ksks. Burgundzki, Kornwalijski,
Albański, Gloster i dworzanie.)

KRÓL FRANCUZKI.

Zegnaj się z siostrami!

KORDELJA.

Klejnoty ojca mego! żegnam was ze łzami!

(na stronie.)

(O znam ja wasze cnoty! lecz z sercem siostrzanem
Nie zdołam ich właściwem, gorzkim nazwać mianem)

(głośno.)

Bądźcie dobre dla ojca! Ach! komuż go zlecę,
Gdy nie waszych wymownych serc tkliwej opiece?

(na stronie.)

(O gdybym w jego łasce była po dawnemu,
Bezpieczniejszy przytułek znalazłabym jemu!)

(głośno.)

Bądźcie zdrowe me siostry!

GONERYLA.

Niech nam nie tłumaczy
Kordelja obowiązków naszych.

REGANA.

Sama raczej
Ucz się, jako być panu swojemu usługną,
Którego los obdarzył tobą, jak jałmużną:
Brakło ci posłuszeństwa, to też ci splecono
Za brak brakiem najśluszniej.

KORDELJA.

Ręka czasu mściwa
Rozwikła tkań obłudy misternie splecioną,
A kto nią swoje wady przebiegle okrywa,
Nagi z niemi na hańbę wyjdzie! Szczęść wam Boże!

KRÓL FRANCUZKI.

Pójdź najmilsza Kordeljo!

(wychodzą król francuzki i Kordelja.)

GONERYLA.

Niechże ci przełożę
Rzecz ważną, co się z bliska nas obydwóch tycze
Ojciec nasz pono w drogę chce ruszyć wieczorem!

REGANA.

Tak jest, i do ciebie na miesiąc w gościnę,
Potem do mnie.

GONERYLA.

Czy zważasz, jak zmiennym humorem
On się przejął na starość? Że więcej pomnę,
Jako, co dzisiaj zaszło, srodze mnie przestrasza!
Wszak mu zawsze najmilszą była siostra nasza,
A z jak błahych pobudek wygnał, wydziedziczył!...
Tego zanadto!

REGANA.

Wada to wielka, nie dziwy!
Lecz i zawsze nie bardzo on się z sobą liczył.

GONERYLA.

Tak jest; zawsze gwałtowny był i popędliwy,
W najlepszej i najzdrowszej swego życia dobie
Więc smutną dzisiaj dołę musim wróżyć sobie!
Znosić nam trzeba będzie nie tylko nałogi,
Zaszczepione od dawna, lecz wszystkie przywary
I dziwactwa też, jakim wiek ulega stary.

REGANA.

Nie raz nas pewno taki miły wybryk spotka,
Jak naprzykład, to Kenta dzisiejsze wygnanie.

GONERYLA.

Nie jedna nam się trafi zakąska tak słodka,
Jak to z królem francuzkim jego pożegnanie!
To też trzeba nam szczerze wspierać się nawzajem,
Bo jeśli nasz ojciec takim obyczajem

Zechce dalej z swą zwierzchnią występować władzą,
Dobrze się nam we znaki jego łaski dadzą!

REGANA.

Trzeba nam dobrze dalsze swe obmyślić kroki!

GONERYLA.

Trzeba radzić skutecznie i to bez odwłoki.

(wychodzą.)

Scena 2.

Sala w pałacu hr. Gloster.

Wchodzi EDMUND z listem w ręku.



Cześć bogini mej naturze!

Jej praw tylko znam powagę,

I jej tylko jednej służę.

Czyż więc cierpieć mam tę plagę,

Którą zwyczaj głupi szerzy?

Czyż mi ludzkie przywidzenie

Ma wydierać cześć i mienie,

Co mi słusznie przynależy?

Za to tylko, żem mniej żwawy,

Niżli jakiś tam mój brat

Nieco później przyszedł w świat?

Z kądżem podły? z kąd nieprawy?

Czyżem przez to niedołęga?

Niższeż ciało me budową,

Niższyż umysł mój potęgą,
Niżli u tych, co ich zową
Prawym płodem jejmość pani?
Myż być mamy piętnowani
Poniżenia, hańby piętnem?
My nieprawi? my spodleni?
Co naturze pochwyceni
W uniesieniu serc namiętnem,
Więcej siły w krwi i duchu
Wnieśli na świat, niż jej dawa
Nudna zimna miłość prawa,
Co zaspana, w miękkim puchu
Kpów rozpladza pokolenie?!
A więc prawy mój Edgarze,
Mojem musi być twe mienie!
Bo nieprawy Edmund przecie
Ojcu drogi jednakowo,
Jak i prawe jego dziecko...
Prawy! prawy! piękne słowo!
O! poczekaj mój ty prawy!
Niechno liścik ten ciekawy
Po mej myśli się powiedzie,
A na karku twym nieprawy
Edmund, kędy chce, pojedzie...
Rosnę w szczęście, mienie, sławę!...
Bogi wspierajcie nieprawę!

(wchodzi Gloster.)

GLOSTER.

Kent bannita!... gniewnemi Frank pożegnan słowy!
Król wyruszył przed nocą, władzę złożył całą,
Tytuł jej tylko sobie zostawił jałowy!
I w jedno mgnienie oka wszystko to się stało!...
No! i cóż tam, Edmundzie? jakie masz nowiny?

EDMUND, (chowając list.)

Żadnych panie

GLOSTER.

Co? żadnych? z jakiejżeś przyczyny
Z ukryciem tego listu tak się bardzo chwytasz?

EDMUND.

Ja nie mam żadnych nowin.

GLOSTER.

I cóżeś tam czytał?

EDMUND.

Nic mój panie!

GLOSTER.

Nic? zkadże ta ręczość skwapliwa,
Z jaką ręką twą papier ten w zanadrzu skrywa?
Wszak z natury swej kryć się nie potrzeby nie ma?...
Nuże! pokaż! niech sądzę własnymi oczyma. —
Gdy to nic, to mi łatwo pójść musi czytanie
Nawet bez okularów...

EDMUND.

Wybacz, proszę, panie!...

To list od mego brata... jeszcze jego treści
Nie przebiegłem do końca; lecz z tego, co mieści
Przeczytany początek, jasny wniosek robię,
Że go widzieć, mój panie, nie wypada tobie!

GLOSTER.

Daj mi list!

EDMUND.

Czy ukryję, czyli go pokażę,
I tak i owak, panie, serce two obrażę,
Bo, ile wnosić mogę, myśli w nim zawarte,
Z boleścią przyznać muszę, są nagany warte!

GLOSTER.

Pokaż! pokaż natychmiast!

EDMUND, (oddaje list.)

Tuszę wszakże, panie,
Na całe mego brata usprawiedliwienie,
Ze nie inny cel miało to jego pisanie
Jak tylko mej synowskiej cnoty doświadczenie.

GLOSTER, (czyta.)

„Przez te względy, szacunek dla sędziwej głowy,
Świat nam gorzknie, w żywota najpiękniejszej porze!
Przez nie to długo czekać musim na godowy
Puchar szczęścia, z kąd starość czerpać już nie może.
Mnie coraz nieznośniejsem i głupszem się zdaje

To jarzmo, które na nas przemoc starszych wkłada,
Przemoc, która nie przez to, że ma siłę, włada,
Lecz tylko, że cierpliwie znosim ją mazgaje.
Przyjdź do mnie na obszerną, poufną rozmowę...
Gdyby ojciec mój do snu złożył siwą głowę,
I spał, aż go nie zbudzę, wówczas wiecznym darem
Dostałbyś jego mienia intratną połowę,
I kochany, żył w zgodzie z bratem swym Edgarem.“
I spał aż go nie zbudzę! Ha! to na mnie zmowy!
Tobys dostał połowę jego mienia za to!...
Syn mój!... aby to skreślić, stałoz ręki na to?!
By to uknuć, ach stałoz mu serca i głowy!?...
Zkąd przyszła? kto ci przyniósł tę haniebną kartę?!

EDMUND.

Nikt, panie. Zręcznie sobie poczęto w tej mierze!
List wpadł mi do pokoju przez okno otwarte.

GLOSTER.

Edgardasz w nim poznajesz ręką? powiedz szczerze!

EDMUND.

Śmiałbym przysiądz, że jego, gdyby treść pocziwa;
A ze względu na to, co się w niej ukrywa,
Radbym myśleć inaczej.

GLOSTER.

Jego!...

EDMUND.

Oczywiście

Jego to ręka, panie! ale, na to liczę,
Że jego serca nie ma w tym nieszczęsnym liście.

GLOSTER.

Nigdyż dotąd w te swoje zamysły zbrodnicze
Nie próbował on wciągnąć ciebie?

EDMUND.

Nigdy panie!

Nieraz tylko z ust jego słyszałem to zdanie,
Iż się godzi, ażeby ojcowie zgrzybiali
Pod opieką dorosłych synów zostawali,
A synowie dzierżyli rządy w ręce swojej.

GLOSTER.

Ha nikczemnik! nikczemnik!... toż i w liście stoi!
Obrzydliwy nikczemnik! okropny! wyrodny!
Bestjalski! he! gorzej! bestji niegodny!
Ruszaj po niego!... ja go wezmę w kuratele!...
Nędznik ohydny!... gdzie on?!

EDMUND.

Nie wiem, panie!

Kornie tylko przełożyć tobie się ośmiele,
Że, gdybyś chciał powściągnąć swoje zagniewanie,
Przeciw bratu mojemu, dopóki byś ściśle
Nie zbadał, co się kryje w tym jego замыśle;
Pewniejszabyś do celu swego zdążył drogą.
Jeżeli go niesłusznie podejrzewasz w winie,
Ujmę własnej godności sprawisz tem jedynie,

I wyrwiesz z jego serca korną cześć dziecinną.
Głowę swoją śmiał stawic za to, że nie inną,
Nie zbrodniczą pobudką brat mój był wiedziony,
List ten dziwny szłać do mnie, tylko chęcią próby
Synowskich uczuć moich względem twej osoby.

GLOSTER.

Tak mniemasz ?

EDMUND.

Jeśli na to zgoda z twojej strony,
Mój panie, to cię w miejscu dogodnem postawię,
Byś mógł słyszeć rozmowę naszą w owej sprawie,
I wierzyć temu tylko, w czem ci własne uszy
Powiedzą. Wszystko złatwię jeszcze dziś wieczorem.

GLOSTER.

Nie podobna, ażeby takim był potworem !

EDMUND.

I nie jest.

GLOSTER..

Przeciw ojcu, co go z całej duszy
Kocha !... zbrodnia ta niebo i ziemię poruszy !...
Proszę cię ! pójdz do niego ! Pomóż mi, niech zbadam
Jego myśli. Zręczności twojej całkiem wierzę...
O ! chętniebym poświęcił wszystko, co posiadam,
Gdybym mógł swoje zdanie ustalić w tej mierze !

EDMUND.

Idę panie, natychmiast wszystko przysposobię,
Co tylko w mojej mocy by usłużyć tobie.

GLOSTER.

Te niedawne zaćmienia słońca i księżyca
Nie dobrego nie wróżą!... kto naturę bada,
Niech sobie tak, czy owak powód ich wyświeca,
Skutek zawsze jednaki z nich: plaga i biada,
Przyjaźń szczerą zawodzi, miłość wierna gaśnie,
Brat na brata powstaje... po wsiach srogie waśnie,
Po miastach ciągle bunt, a w pałacach — zdrada!
Między synem a ojcem pęka łańcuch święty —
Do tej to właśnie wróżby mój w sam raz przypada;
Tu syn na ojca! — król w gniewie zacięty,
Gwałci prawo natury — tam ojciec na dziecko. —
Śliczne rzeczy w te czasy widzimy na świecie!
Spiski, zdrady, nienawiść, zbrodni cała liga
Krok w krok aż do mogiły zawzięcie nas ściga!...
Zbadaj tego nędznika, Edmundzie! licząc na to,
Że z tej sprawy ty pewno nie wyjdiesz ze stratą; —
Bądź mi tylko gorliwym!... I ten wierny, prawy,
Szlachetny Kent — o zgroza! — wygnany niegodnie!
I za cóż? — cnotę jego wzięto mu za zbrodnię!
Zaiste niepojęte, dziwne dziwne sprawy! (wychodzi)

EDMUND.

Ależ głupi ten świat nasz, a głupi paradnie!
Niech kto w ciężką niedoli chorobę popadnie,
(Nieraz to jest niestrawność, którą przesył czyni),
Wnet o to słońce, księżyc, wszystkie gwiazdy wini!
Rzekłbyś że się człek łotrem z konieczności staje,

Że być głupcem niebieska moc mu tylko każe ;
Że te wszystkie oszusty, złodzieje, hultaje,
Sfer przewaga rozplądza ; że pjanice, łgarze
I sprośnicy się rodzą wprost przez planet wpływy,
I że, co tylko zbroi człowiek niegodziwy,
Do wszystkiego potężne, boskie, prze go ramie.
Tak naprzykład rozpuśnik zgrabnie się wyklamie,
Kiedy gwiazdy za sprośne swe chcenie spotwarzy.
Tak, jeżeli mój zacny ojciec się kojarzy
Z moją matką pod znakiem *smoczego ogona*
A ja pod *niedźwiedzicą*, wychodzę z jej łona,
To już gbur i lubieżnik ze mnie bez pochyby!
To mi racja ! wszelakoż ja myślę, że gdyby
Najczystsza, najwstydlivsza z gwiazd swe blaski złote
Zlała na mą kolebkę, byłbym jota w jotę
Tem czem jestem... — Ha ! Edgar ! spada mi jak z nieba
(Edgar wchodzi.)

Jak *deus ex machina* w komedji ! z mej roli
Wynika że, z wyrazem okropnej niedoli,
Wzdychać mi, jak ów biedny *Tom z Badlomu*, trzeba.
O te straszne zaćmienia, one to sprawcami
Wszystkich tych srogich waśni ! tak, tak ! *fa, sol, la, mi.*

EDGAR.

Co ci, bracie Edmundzie ? z kąd to zasepienie

EDMUND.

Rozważam, com je wczora czytał, przepowiednie
Onych klęsk, jakie na nas ściągnąć ma zaćmienie.

EDGAR.

Jako? alboż cię mogą zajmować te brednie?

EDMUND.

Wierz mi, straszne to rzeczy, o których tam mowa!
Rozbrat w przyjaźni, pomór, głód, wojna domowa,
Złorzeczenia, zamachy na króla i Pany,
Głos natury ni dzieciom ni ojcom nieznany,
Podejrzliwość, w małżeńskich związkach przeniewierstwa,
Wypędzanie sług wiernych, rokosze żołnierstwa,
I..... lecz któżby to ludzkim wysłowił językiem!?

EDGAR.

Odkądżeś astronomji został zwolennikiem?

EDMUND.

Chodź no, chodź! Czy się dawno widziałeś z rodzicem?

EDGAR.

Wczorajszego wieczora.

EDMUND.

Czyś z nim mówił bracie?

EDGAR.

Z parę godzin.

EDMUND.

Odchodząc, byłże łaskaw na cię?
Nie zdradził że niechęci ni słowem ni licem?

EDGAR.

Najmniej.

EDMUND.

Wspomnij czem go naraziłeś sobie?

Unikaj spotkania z nim, na me zakłęcie,
Nim nie ochłonie w gniewie, którym tak zawzięcie,
Wre w tej chwili, iż w gwałcie przeciw twej osobie
Zaledwie mógłby wściekłość uspokoić swoją!

EDGAR.

Łotr mię jakiś spotwarzył!

EDMUND.

Tego się też boję,

I proszę cię raz jeszcze: zdala odeń, zdala,
Póki w nim krwi wzburzonej nie ucichnie fala.
Schroń się w mojem mieszkaniu, taka moja rada,
Gdzie, skoro się nasz ojciec w gniewie swym rozgada,
Postawię cię w możności słyszeć go ze strony.
Masz klucz! spiesz! a wyjść zechcesz, wychodź uzbrojony.

EDGAR.

Uzbrojony, mój bracie?

EDMUND.

Bracie, to przestroga
Najżyczliwsza dla ciebie! bo, jak cześć mi droga,
Tak nie dla cię dobrego z tej chmury nie spadnie!
Wiesz, com widział i słyszał, ale niedokładnie;
O! bo słów na to nie ma żaden język żywy,
By oddać okropności tej obraz prawdziwy!
Błagam cię! uchodź! uchodź!....

EDGAR.

Rychłóż ujrzę ciebie?

EDMUND.

Całem sercem ci służyć będę w tej potrzebie!

(Edgar wychodzi.)

Tak! ojciec łatwowierny, brat — prawość wcielona,

Z natury tak niezdolny do złego, iż mniema,

Że jak świat ten szeroki, nigdzie złego nie ma;

To mi właśnie! na głupiej tej ich poczciwości,

Do mety zamierzonej dojadę najprosciej.

Moja rzecz zdobyć mienie, nie rodem, to sprytem;

A co mi w tem na rękę jest już przyzwoitem. (wychodzi.)

Scena 3.

(Pokój w pałacu hr. Albańskiego.)

WCHODZĄ GONERYLA I OSWALD.

GONERYLA.

akto? ojciec zbił za to mego dworzanina,

Że ten mu złajał błazna?!

OSWALD.

Tak pani, zaiste!

GONERYLA.

Dzień i noc! wciąż mi bruzdzi! prawie co godzina

Nowy gwałt, tak, że przezeń w domu piekło czyste!

Godnych jego rycerzy rozpasana tłuszcza

Ciągłych burd i swawoli tutaj się dopuszcza,



On zaś o lada fraszkę gniewa się i kłóci!
Raz trzeba już z tem skończyć! gdy z łowów powróci,
Nie wyjdę; ty mu tłumacz to mojem niezdrowem.
A gdy służba twa przy nim mniej będzie skwapliwa,
To i owszem; za winę ja sama odpowiem.

OSWALD.

Słyszę pani, dźwięk trąby... owoż i przybywa!

GONERYLA.

Lekceważcie go sobie wszyscy, jak zechcecie!..
Niechaj się o to sprawa raz wytoczy przecie...
Zle mu tu, to niech rusza do siostry Regany.
Wiem, że zgodne z mojemi jej w tym względzie plany;
Nie dać się za nos wodzić! Ten darmożjad stary
Dotąd jeszcze we władzę swą nie stracił wiary,
Choć berło z rąk wypuścił! Jak mi drogie życie,
Człek się dzieckiem znów staje u schyłku żywota!
I na starca, jak gdyby na kapryśne dziecko,
Rózgi trzeba, gdy zbytnio psuje go pieszczota!..
Pomnij, com zaleciła.

OSWALD.

Nie zapomnę pani!

GONERYLA.

Rycerze jego odtąd niechaj na mym dworze
Będą zimno i z góry przez was traktowani.
Mniejsza o to, co w końcu ztąd wyniknąć może...
Nastrój tam, jak potrzeba, swoje towarzysze....

Chcę i muszę ztąd znaleźć pretekst do rozmowy.
Do siostry, jak ma działać, natychmiast napiszę.
Zarządź, niech do obiadu stół będzie gotowy.

(wychodzi)

Scena 4.

(Tamże sala.)

WCHODZI KENT PRZEBRANY.

KENT.



Jeżeli tak i głosu cudzego pożyczę
By nim pokryć mój własny, mam nadzieję b łogą
Że dobrze mi się powieść te zamiary mogą,
Dla których wziąłem obcą odzież i oblicze,
Nuże, Kencie, banito! gdy (co dajcie Bogi!)
Zdołasz być pożytecznym tam, gdzie wyrok srogi
Cięży na twojej głowie; pan mój nieszczęśliwy,
Pan ukochany, ujrzy, żeś w pracy gorliwy!
(Odgłos trąb za sceną; wchodzi Lir z rycerzami i dworzanami)

LIR.

Hola! obiad natychmiast! Prędejsze mazgaje!
Pójdź tam który niech dają! (jeden z dworzan wychodzi)
(do Kenta)

Ty kto?

KENT.

Człowiek, panie.

LIR.

Jaka twoja profesja? jakie masz żądanie?

KENT.

Profesja: nie być gorszym niżli się wydaję,
Służyć wiernie takiemu, który mi zawierzy,
Kto pocziwy, takiego kochać duszą całą,
Żyć z takim, co ma rozum, a rozprawia mało,
Bać się sądu; gdy muszę, bić się jak należy,
I ryby nie jeść.

LIR.

Któżes?

KENT.

Pocziwy człeczysko,

Ale biedny jak król nasz!

LIR.

Jeżeli tak nisko

Spadłeś w swoim poddaństwie, jak on w majestacie,
O toś biedny zaprawdę!... I czegoż chcesz bracie?

KENT.

Służby, panie!

LIR.

I komuż chciałbyś służyć?

KENT.

Tobie!

LIR.

Znasz że mnie?

KENT.

Nie znam, panie! Ach w twojej osobie
Jest coś, co mię zwać ciebie panem swym pociąga.

LIR.

I cóż to jest?

KENT.

Dostojność

LIR.

Cóż ty umiesz przecie?

KENT.

Umiem sekret poczciwie utrzymać w sekrecie,
Biegać konno i pieszo; zrobić dziwoląga
Z ciekawej opowieści gdy ją opowiadam,
A prosty rozkaz spełnić po prostu, i zgoła
Co tylko pospolity człowiek zrobić zdoła,
Do tego i ja zdolność prawdziwą posiadam;
Gorliwość zaś, to moja największa zaleta

LIR.

Wiek twój?

KENT.

Nie taki młody, aby mię kobieta
Mogła złapać jak muszkę, na słówko cukrowe,
Ani też taki stary, abym stracił głowę
Za inny jaki przysmak, którym wabić może;
Bo na karku swym dźwigam już wieku połowę.

LIR.

Pójdź więc do mnie! mieć będziesz służbę na mym dworze.
A gdy nie wstanę z gorszem po obiedzie zdaniem
O tobie, to nie rychło z sobą się rozstaniem. —
Obiad! hej! obiad prędzej!... Gdzież jest u kaduka
Ten ciemiega, mój błazen? niech go kto poszuka!
(wchodzi Oswald.)

Hej! ty! czy moja córka dotąd nie ubrana?

OSWALD.

Za pozwoleniem, panie!

(wychodzi)

LIR.

He co on tam burczy?

Hola! zawróćcie zaraz mi tego bałwana!

(jeden z rycerzy wybiega i zaraz powraca)

Gdzież mój błazen?.. czy służba ta spi jak zabita,
Czy co?!.. Cóż on powiada? gdzie ten syn pokurczy?

RYCERZ.

On powiada, że córka twoja panie, słaba.

LIR.

Czemuż sam się nie wrócił, gdym go wołał, draba?!

RYCERZ.

Odpowiedział mi krótko, że nie chce i kwita!

LIR.

On nie chce?!

RYCERZ.

Nie wiem panie, co to wszystko znaczy,
Ale sędzę, że Waszą Wysokość inaczej
Niżliby należało, traktują tu oni.
W obejściu się brak słusznej czei i ceremonji;
Ostygli w uprzejmości nie tylko dworzanie,
Lecz nawet i sam książę, i twa córka, panie!

LIR.

Tak powiadasz?

RYCERZ.

Tak myślę, a jeżeli w błędzie,
Niech mi to miłościwie przebaczonem będzie;
Bo, gdy mniemam, że pan mój został w czem dotknięty,
Milczeń mi nie pozwala obowiązek święty.

LIR.

Przypominasz mi własne me uwagi smutne!
Widziałem ci ja tutaj niedbalstwo wierutne
Względem mojej osoby; lecz wolałem raczej
Mniemać, że mi się trochę na starość dziwaczy,
Że wymagam za wiele, niż wniesć z tej poszlaki,
Że się tu niepoczciwy kryje zamiar jaki.
Ha, trzeba baczniejszemi zajrzeć w to oczyma!...
Ale gdzież jest mój trefniś? dwa dni już go nie ma.

RYCERZ.

Od wyjazdu najmłodszej królowny, wyraźnie
Schnie ze smutku poczciwe serce w naszym błaznie!

LIR.

Nie wspominać mi o tem!... wiem to nie od dzisiaj!...
Pójdź waść, oświadczyć mej córce, że chcę posłuchanie
Mieć u niej... a waść sprowadź tu mego trefnisia.

(Oswald powraca.)

Hola! hej! pójdźno tutaj! bliżej, mości panie!
Kto ja jestem?... czy waćpan znasz mnie?... przypatrz mi się.

OSWALD.

Któż? ojciec mojej pani...

LIR.

Ojciec mojej pani!

Ty! ty! pański fagasie! psi synu! kundysie!

OSWALD.

Wybacz panie! nie jestem ani tem, ni owem.

LIR.

Co? ty mi się odcinać śmiesz zuchwałem słowem!
Ty łajdaku! (uderza go.)

OSWALD.

Ja panie, bić się nie dam wcale!

KENT.

Ani podbić się pewno? furfanie zuchwały (podbija go.)

LIR.

Dziękuję tobie bracie! służysz doskonale!
Będziesz miał u mnie łaskę!

KENT.

Wstawaj pókiś cały

I zmykaj! boć dam lepszą naukę raz drugi!
Znów się tutaj drągału, rozciągniesz jak długi!
No! marsz! miej rozum przecie (wypycha go) ot tak! fo-
ra z dwora!

LIR, (daje mu pieniądze.)

Dziękuję! to zadatek; rychło przyjdzie pora
Gdy twa służba pocziwa lepiej się opłaci.

(wchodzi błazen.)

BŁAZEN.

Niechże i ja go najmę! (do Kenta) Ot mój kaptur! na ci!

LIR.

Cóż znaczy, mój błazenu, ten twój koncept płaski?

BŁAZEN.

Ejże! weź mój kapturek! będziesz kontent z daru!

KENT.

Czemu?

BŁAZEN.

Bo się tych trzymasz co wypadli z łaski.

Śmiejąc się przeciw wiatru, dostaniesz kataru.

Weź więc mój kaptur, radzę! Uważ, co się święci:

Ten człowiek dwie swe córki odpędził od siebie,

A trzecią uszczęśliwił mimo własnej chęci;

Ty mu służysz, więc kaptur mój w sam raz dla ciebie.

(do Lira.)

I cóż stryjeciu! o gdybym ja miał dwa kaptury

I dwie sobie pocziwe, jak te twoje córy!

LIR.

Dla czego to, mój chłopcze?

BŁAZEN.

Oddawszy im mienie,
Sambym nosił kaptury. Jeden na usługi!
Dam ci swój, poproś pięknie, córki dadząć drugi.

LIR.

Strzeż się! bo cię tu zaraz osmagam jak szczenie!

BŁAZEN.

A tak! prawda to podły kundys! a do psiarni!
Krzykną nań i harapem pędzą, gdy suczyna,
Wielmożna faworyta, leżąc u komina,
Wygrzewa się wygodnie i cuchnie bezkarnie!

LIR.

Co za gorycz zjadliwa w tem się dla mnie mieści!

BŁAZEN.

Słuchajcie! nauczę was jednej przypowieści.

LIR.

Naucz!

BŁAZEN.

Niech stryjcio dobrze ją do głowy zgarnie,
Mniej waść pokazuj, więcej posiadaj,
Więcej rozumiej, mniej wypowiadaj,
Mniej chodź, a częściej konia dosiadaj,
Mniej wierz drugim, sam więcej badaj,
Mniej trwoń, a więcej w kaletkę składaj,

Zaniechaj kufła i żywe łątki,
Pokochaj swoje domowe kątki
A w rezultacie twoje dziesiątki
Mieć będą więcej niż po dwie prątki.

LIR.

Z tego wszystkiego błaznie, wielkie *nic* wynika.

BŁAZEN.

Jest to więc jak perora głodnego prawnika,
Nie płacicie mi za to... Ale czyż nie zdoła
Nikt z niczego *nic* zrobić?

LIR.

Z niczego *nic* zgola.

BŁAZEN, (do Kenta.)

Powiedz że mu, bądź łaskaw, iż tyleż stanowi
Jego mienie, — bo wierzyć nie zechce błaznowi.

LIR.

Zaprawdę, jest to błazen, gorzki jak pieprzycyca!

BŁAZEN.

A wiesz że ty mój żaczku, jaka mianowicie
Między gorzkim a słodkim błaznem jest różnica?

LIR.

Nie wiem wcale; naucz mię, proszę, moje dziecko.

BŁAZEN.

Tego pana, coć doradził,
Byś się włości swych pozbawił,
Gdybyś tu mi przyprowadził,

Lub za niego sam się stawił;
Słodki błazen z gorzkim sobie
Tuby podać mogli ręce, —
Jeden w mojej pstrej sukience
Drugi w tamtej cnej osobie.

LIR.

Cóż to, chłopcze! mnież błazna tytuł się dostanie?

BŁAZEN.

Wszystkie inne tytuły twoje i zaszczyty
Złożyłeś, — ten ci tylko został rodowity.

KENT.

Ej nie całkiem to błazen, miłościwy panie!

BŁAZEN.

Nie, bo mi wielcy ludzie w tem szkodzą i pany!
Gdybym miał na błazeństwo monopol przyznany,
Musiałbym ich do spółki przyjąć. Z drugiej strony
Być mi błaznem samemu plec piękna nie daje,
Chcąc mieć swoje obrywki! — Stryjciu! daj mi jaje,
A ja za to natychmiast dam ci dwie korony

LIR.

Doprawdy? Cóż to będą za korony twoje?

BŁAZEN.

Jakto? po prostu jajko rozetnę na dwoje?
Zjem środek i dam z łupin dwie korony tobie.
Rozpłatawszy koronę, gdyś jej części obie
Dał córkom, a sam poszedł w komorne z ochotą,

Toś naprawdę tak zrobił stryjasku jedyny,
Jak stryjek, co siekierkę wymieniał na kijek!
Oj pod srebrną koroną tej twojej łysiny
Brakło mózgu, gdyś rzucał swą koronę złotą!
A jeśli ktoś ci powie, że to błazen plecie,
Każ mu dyplom na łgarza wypisać na grzbiecie.

Dziś dla błaznów wiek żelazny
Kiedy mędrcy istne błazny,
Błaznów wzięli obyczaje,
I jak błazen każdy baje!

LIR.

Od kiedyż to się stałeś tak płodnym w piosenki?

BŁAZEN.

Od kiedyś swoje córki wziął sobie na matki;
Bo gdy różgę na siebie im dawszy do ręki,
Zakasałeś ku temu jak trzeba manatki

Nagła je radość do łez rozczyła

Ja wesół śpiewam w boleści,

Że w ciuciubabkę król taki hula

I w gronie błaznów się mieści

Proszę ciebie stryjasku, najmij bakałarza,

Coby błazna twojego wyćwiczył na łgarza!

Chciałbym łąć.

LIR.

Spróbuj łotrze, jeśliś świerzbi skóra!

BŁAZEN.

Dziwneż dziwy się dzieją z tą rodziną waszą!
Jedną krew! gdy tak bardzo odmienna natura
W tobie a w twoich córkach? One chłostą straszą
Za prawdę, ty za kłamstwo! Niechże błazen kuka!
Milczałbym, lecz ta chłosta czeka i na mruka!...
Tak mężnego stworzenia nie widziało słońce,
Z jakim bym się pomieniać dziś nie miał ochoty
Na swą dolę błazeńską!... tylko stryjcii złoty
Z tobą jednym nie! nigdy! Ty na oba końce
Tak obciąłeś swój rozum, że w nim środka nie ma!...
Oto jeden obcinek masz tu przed oczyma...

(Goneryla wchodzi.)

LIR.

Zkądże ci, moje dziecko to czołko szkaradne?
Zkąd się na niem te chmury nieustannie biorą?

BŁAZEN.

Byłeś zuch, gdyś nie zważał nic na chmury żadne,
A dziś tyle wart jesteś co bez liczby zero.
Jam dziś lepszy od ciebie; ja błaznem, ty niczem.
Lecz cyt, cyt! już się język mój za zęby chowa,
Bo mi to nakazujesz Pani swem obliczem,
Choć mi usta twe dotąd nie rzekły ni słowa.

Kto nie umie żyć z zapasem,

Może zaznać głodu czasem,

A to jest wyluskana łupina grochowa.

(wskazuje na Lira.)

GONERYLA.

Nie tylko ten twój, Panie, błazen wyuzdany,
Ale cała twa świta, rycerze, dworzany,
Nieustanne te drwiny wszczynają i swary,
I swawole zuchwałe bez granic i miary,
Myślałam, że gdy rzecz tę poddam twej powadze,
To złemu najskuteczniej natychmiast zaradzę;
Lecz, o zgroza! dzisiejsze twe słowo i czyny,
W tobie każą mi widzieć główne źródło winy;
Bo snadź w skutek zachęty i opieki twojej,
Śmiało tak i bezczelnie ta zgraja tu broi, —
Co jeśli dłużej potrwa, to wreszcie się zbudzi
Surowa sprawiedliwość i skarci tych ludzi.
Choć tem siebie zasmucę i ciebie obrażę,
Ale mi wzgląd na wspólne nasze dobro każe
Spełnić taką ofiarę. Zhańbiłabym siebie,
W innym razie tym krokiem, który zwać należy
I słusznym i koniecznym w przykrej tej potrzebie...

BŁAZEN.

A tak, tak, sprawiedliwie! niech stryjaszek wierzy!
Pliszka dopóty karmi dzieci kukulczyne,
Aż te z gniazda wypędzą pocziwą ptaszyne.
Tak, zgasła świeca, myśmy pogrążeni w mroku.

LIR.

Czyżes ty moja córka?!

GONERYLA.

Uspokój się, Panie!

Radabym , żebyś zechciał wrócić pod władanie
Rozsądku , który dawniej rządził twemi kroki ,
A pozbył się tych dziwactw, co swojemi wpływy
Tak na złe twój charakter zmieniły poczciwy.

LIR.

Czy mię zna kto , powiedźcie!.. O biada mi , biada!
Toż ja chyba nie Lirem?!.. nie!.. czyż tak Lir gada?
Czyż tak chodzi Lir?.. mówcie!.. jegoż to są oczy?..
Czy to sen , czy to jawa?!.. nie, nie!.. wielki Boże!
Któż jest , co mi powiedzieć kto ja jestem , może?!
Bo i wiedza , i władzy królewskiej znamiona
Kłamią mi , że mam córki !

BŁAZEN.

Najpoczciwsze w świecie,
Co ojca chcą wychować na posłuszne dziecko.

LIR.

Twe imie? piękna Pani!

GONERYLA.

Uspokój się, Panie!

Bo to twoje zdumienie , mowa ta namiętna ,
Jak i dawne wybryki , są jednego piętna.
Zechciej , proszę , zrozumieć dobrze me żądanie ;
Miej rozum , jaki w twoim wieku mieć należy.
Trzymasz tutaj secinę giermków i rycerzy,

Ludzi, tak rozhukanych w swawoli próżniaczej,
Że dwór nasz, zarażony ich obyczajami,
Rozpustą i bezwstydem, co cześć jego plami,
Dziś wygląda jak karczma, albo zamtuz raczej,
Nie zaś pałac książęcy. Sam wstyd obrażony
Owoś jest požądanem tej, którą odmowa
Może tak usposobić, że wreszcie gotowa
Wziąć sama, czego prośbą pozyskać nie może,
Byś zechciał nieco zmniejszyć, Panie, swoją świętę,
I by ci, co zostaną z tobą na mym dworze,
Mieć mogli obyczaje ciche, przyzwoite,
Odpowiedne wiekowi i powadze twojej,
A znali, co im samym i tobie przystoi,

LIR.

A! na wszystkie strony i piekło gorące!..
Siodłać konie! niech świta wnet się zbierze cała!..
Ha! wyrodny podrzutku! jaż ci nie zamączę
Spokoju!.. jeszcze jedna córka mi została...

GONERYLA.

Bijesz mi dworzan, Panie, a twa zgraja licha
Wyższych od niej, jak sługi ostatnie, popycha.
(wchodzi ks. Albański.)

LIR (do ks. Albańskiego.)

Biada tym, co po czasie żałują, o! biada!...
Jestże twoja w tem wola, co ta mi powiada?
Mów, Panie! — Mileczysz?!.. Konie! siodłać prędzej konie!..

Niewdzięczności! ty z sercem kamiennem szatanie!
Jakiż potwór ohydą wyrównać ci w stanie,
Gdy cię z piersi swych dziecię na ojca wyzionie?!

KS. ALBAŃSKI.

Chciej być, Panie, cierpliwym!

LIR (do Goneryli.)

Łżesz, drapieżna pani!

Ludzie w moim orszaku z wybranych wybrani,
Najzdolniejsi, co filura obowiązku strzegą,
I umieją utrzymać cześć imienia swego. —
O ty, błahy występku Kordelji, ach czemu,
Czemuś tak się okropnym wydał oku memu?!
Czemuś w gniewie, jak w kołach straszliwej tortury,
Zacichnął całkiem właściwy układ mej natury,
I wyrwał precz mi z serca całą miłość moję,
A wpędził w nie wzburzonej żółci czarne źródło?!...

(bijąc się w głowę.)

O Lirze, Lirze, Lirze! bij w te nędzne wrota,
Przez które wyszedł rozum, a weszła głupota!...
Pójdźcie, wierne me sługi!

KS. ALBAŃSKI.

Jam nie winien, Panie,
I nie wiem co do tego gniewu cię przywiodło.

LIR.

Być może.... O naturo! usłysz me wołanie!
Jeśliś miała zaszczycić tę istotę podłą

Macierzyństwem; zmień zamiar! niechaj będzie ona
Niepłodną! Wyrwij siłę rodzajną z jej łona,
By, ohydne, owocu nigdy nie wydało,
Co pocziwej niewieście radością i chwałą!
A jeśli zostać matką jest jej przeznaczeniem
Niechże dziecko jej będzie wszechzłości wcieleniem
I ciąglem dla niej, żywym narzędziem katuszy!
Niech przedwczesną siwizną głowę jej przyprószy,
Niechaj lica jej łzami krwawemi poryje,
Niech dzikiem pośmiewiskiem i wzgardą zbezczęści
Wszystkie jej macierzyństwa troski i boleści,
By poczuła, że srożej nad zjadliwe żmije
Rani niewdzięczność dziecka!... Precz z tąd (wychodzi).

KS. ALBAŃSKI.

Święte Bogi!

Cóż tu zaszło? powiedz mi! zkąd ten gniew tak srogi?!

GONERYLA.

Nie troszcz się o to wcale! Staremu dziecięciu
Wolne pole! niech sobie kaprysi swobodnie!

LIR (powraca.)

Jakto? ledwie minęły dwa tylko tygodnie,
A już zmiotłaś rycerzy moich pięćdziesięciu?!

KS. ALBAŃSKI.

Co się stało?

LIR.

Posłyszysz!.. O przez śmierć i życie!
Hańba mi, że ty, nędzna, ty, wyrodne dziecko,

Mogłaś tak srodze zachwiać moją mężką duszę
I wyrwać z mego serca łez gorących zdroje!...
Niechże cię wszystkie naraz choroby naruszają!
Niech przekleństwo ojcowskie wszystkie członki twoje
Ran nigdy nie zgojonych gangreną roztoczy!..

A wy, wy niedołężne stare moje oczy,
Niech mi tylko raz jeszcze płacz was taki splami,
A wyrwę was i w błoto wdepnę z temi łzami!...
Na toż mi zejść sądzono!.. ha! niechże się stanie!...
Mam jeszcze drugą córkę co mi za kochanie
Kochaniem, za opiekę opieką odpowie.....

O! gdy się ona o twej strasznej zbrodni dowie,
Z pazurami do wilczych ślepi twych się rzuci!
A mnie rychło, obaczysz, dawna postać wróci!
Nie myśl żem jej na zawsze zbył się ku twej chęci. —
Wróci! ręczę ci zato!

(wychodzi z dworzanami.)

GONERYLA (do ks. Alb.)

Widzisz co się święci?!

KS. ALBAŃSKI.

Miłość moja ku tobie tak mię nie zaślepi,
Gonerylo najdroższa.....

GONERYLA.

Przestań, Panie! lepiej!..
Hej! Oswald!... a ty, łotrze, w błazeńskim kapturze,
Precz za panem!... nie czekaj, aż rozkaz powtórzę!

BŁAZEN.

Stryjciu Lirze! hej! czekaj! czekaj stryjciu drogi!
Zabierz błazna swojego (do Goneryli) Ściele się pod nogi!

Przedam kaptur, kupię stryka

A ta córka dobrodzika

Co tak ojca swego ćwika,

Niech na haku nam pobryka!

Przedam kaptur kupię stryka,

A tymczasem błazen zmyka!

(wychodzi)

GONERYLA.

Patrzcie, jaki mądry! jak dba o rycerze!

Byłoby politycznie i bezpiecznie wcale,

Gdyby sto miał na rozkaz! Wierzę, bardzo wierzę!

Lada bzik, lada kaprys, lada skargi, żale,

Wówczas wnet swe szaleństwo poparłby ich siłą,

I na jego by łasce życie nasze było!...

Oswald!

KS. ALBAŃSKI.

Tak, lecz przesadzasz te obawy swoje...

GONERYLA.

Lepsza w nich, niżli w ślepej ufności przesada.

Wolę z góry ować to, czego się boję,

Nie bać się, aż wreszcie ono mną owłada.

Znam go!... Z groźbą wśród gniewu wyjawione plany,

Maluję wiernie w liście do siostry Regany.

Jeżeli zechce trzymać, mimo mej namowy,

Jego i tych rycerzy, skoro ztąd wygnani,
To..... gdzież Oswald? hej! Oswald!

(Oswald wchodzi.)

Czy już list gotowy
Do mej siostry?

OSWALD.

Gotowy, miłościwa Pani!

GONERYLA.

Weźże orszak nie wielki i na koń mi żwawo!
Oświadom ją dokładnie z całą mą obawą,
A dodaj, co za dobre uznasz, drogą własną,
By rzecz całą przedstawić dobitnie i jasno.
Ruszaj, a spiesz z powrotem!

(Oswald wychodzi.)

O nie! wybacz Panie!

Ta twoja mleczna słodycz, choć ja jej nie ganię,
Sprawia wszakże, niestety, to, że pośród ludzi
Więcej skarg brak rozsądku w. twych postępach budzi,
Niżli pochwał, ta słodka dobroć — niedolega.

KS. ALBAŃSKI.

Nie zgadnę jak daleko twój bystry wzrok sięga,
Lecz kto goni za lepszym nieraz dobre traci.

GONERYLA.

A więc?...!

KS. ALBAŃSKI.

Czekajmy końca, on odpowiedź da ci.

Scena 5.

(Dziedziniec pałacowy tamże.)

WCHODZĄ LIR, KENT I BŁAZEN.

LIR (dając Kentowi list.)



rzedemną spiesz do miasta Glosteru z tą kartą.

Z tego, co wiesz, mej córce nie powiesz zgoła,

Chyba ku wyjaśnieniu tego, co zawarto

W tem piśmie, swem pytaniem rzecz jaką wywoła.

Jeśli nie dość skwapliwym będziesz w swej podróży,

To sam pierwaj tam stanę.

KENT.

Miłościwy Panie!

Bądź pewnym, że twój sługa wprzód oka nie zmróży

Aż odda, tam gdzie trzeba, to twoje pisanie.

(wychodzi.)

BŁAZEN.

Gdyby u ludzi w piętach rozumy siedziały,

To niechybnie by mogły poprzymrażać nosy.

Czyż nie prawda stryjaszku?

LIR.

A prawda, mój mały.

BŁAZEN.

Bądź więc wesół! nie będziesz nigdy chodził bosy.

LIR.

Cha cha cha!

BŁAZEN.

No, obaczysz, u drugiej dziedziczki
Dobre znajdziesz przyjęcie; bo choć, jak do dziczki
Cukrówka, tak do tamtej podobna tutejsza,

LIR.

Co mówisz, chłopaku?

BŁAZEN.

Że jak dziczka do dziczki, tak one ze smaku
Będą jedna do drugiej podobne. Lecz mniejsza
O te fraszki! Poszukaj lepiej odpowiedzi
Dla czego to na twarzy nos pośrodku siedzi?

LIR.

Nie wiem.

BŁAZEN.

Oto dla tego, stryjciu mój rodzony,
By człek mając po oku z każdej nosa strony,
Mógł wypatrzyć to, czego z daleka nie zwącha.

LIR.

Skrzywdziłem ją!...

BŁAZEN.

Stryjaszku! jak się robi kacha

Na ostyrdze?

LIR.

Ja nie wiem.

BŁAZEN.

Ni ja, stryjciu drogi,

Ale wiem, na co domek ślimakowi zda się.

LIR.

A na co?

BŁAZEN.

Owo na to, aby w każdym czasie

Mógł w nim skryć się bezpiecznie ze swojemi rogi;

Nie na to, by go córkom rozdał po polowie

I chaty nie zostawił swojej głupiej głowie.

LIR.

Muszę własnej natury wyrzec się!... o Bogi!...

Taki ojciec!... Czy konie gotowe do drogi?

BŁAZEN.

Poszły po nie twe osły. Racja, co to znaczy,

Że siedm gwiazd tylko liczy siedmiu gwiazd gromada,

Zaprawdę, mój stryjaszku, to racja nie lada!

LIR.

Bo nie liczy ich osiem.

BŁAZEN.

Tak jest nie inaczej!

Byłbyś wybornym błaznem!

LIR.

Tak!... odebrać muszę!...

Niewdzięczności! o jakżeś rozdarła mą duszę!...

BŁAZEN.

Gdybyś był moim błaznem, wziąłbym cię w obroty,
Żeś przed czasem zestarzał, mój stryjaszku złoty!

LIR.

Jakto?

BŁAZEN.

Tak to! bo wprzód ci zmadrzeć było trzeba,
A dopiero zestarzeć.

LIR.

O litośne Nieba!

Mocy! mocy mi więcej! bo oszaleć mogę!...

Oszaleję!... szalony! piekło w mojem łonie!...

Ach! ja nie chcę oszaleć! nie chcę!... konie! konie!

(wchodzi dworzanin.)

Konie prędej!

DWORZANIN.

Gotowe!

LIR.

Dalej chłopcze w drogę!

Koniec aktu Igo.

AKT II.

Scena I.

(Dziedziniec w zamku Glostera).

EDMUND I KURAN wchodzą ze stron przeciwnych.



EDMUND.

uran tu! witam ciebie.

KURAN.

I ja ciebie Panie!

Byłem u twego ojca z wieścią niespodzianą
Że książę Kornwalijski wraz z księżną Reganą
Dostojną swą małżonką, dziś tu na noc stanie.

EDMUND.

Cóż za powód?

KURAN.

Nie zgadnę... Wiesz, jako po świecie
Kraży dzisiaj nowina, a raczej wieść głucha,
Bo dotychczas to tylko szept się do ucha?

EDMUND.

Cóż to jest? powiedz proszę?

KURAN.

Słyszeliście przecie

O tej wojnie, co bodaj rychło się zapali

Miedzy księciem Albanji, a księciem Kornwalji.

EDMUND.

Ani słowa!

KURAN.

To kiedyś jeszcze posłyszycie...

Żegnam Was!

(wychodzi).

EDMUND.

Książę dziś tu!... dobrze! wyśmienicie!

Samo się to przemocą w mą ochotę wplata!...

Ojciec czaty rozstawił, żeby pojmać brata,

A ja, żeby się ułatwić z tą drażliwą sprawą

Muszę jeszcze coś zrobić... Dalej! zręcznie! żwawo!...

(woła)

Bracie! mam coś powiedzieć!... chodź tu prędzej bracie!

(Edgar wchodzi.)

Uciekaj z tąd natychmiast! ojciec czycha na cię!

Wie już gdzie się ukrywasz!... spiesz! noc cię ocali!...

Czyś nie rzekł czasem czego na księcia Kornwalji?...

Ma zjechać tutaj zaraz... nagle... w nocnej dobie!...

Z nim Regana!... przypomnij, czy się też przypadkiem

Niebaczne jakie słówko nie wymknęło tobie

O ich zejściu z Albańskim?

EDGAR.

Nigdy! Bóg mi świadkiem!

EDMUND.

Ha! ojciec idzie!... wybacz!... by go wywieść w pole,
Wpadnę z mieczem na ciebie, ty na mnie; graj rolę
Jak gdybyśmy bój krwawy wiedli nie na żarty,
A sprawiaj mi się dobrze.

(Uderza z mieczem na Edgara wołając głośno).

Podдай się uparty!

Pójdź do ojca!... hej! światła! (ciszej) Nuże! za pas nogi
I zmykaj! — (głośno) światła prędzej!... (Edgar wychodzi).

(ciszej)

Bądź zdrów, bracie drogi!

(na stronie)

A jak tu jeszcze nieco krwi upuszczę sobie,
To tem na większą wdzięczność u ojca zarobię.

(rani się w rękę)

Widziałem lepsze sztuki wśród pjanej biesiady

(woła)

Stój zbrodniu!... ojcze! ojcze!... ha! nie ma już rady!...

(wchodzi Gloster i służba z pochodniami).

GLOSTER.

Gdzież jest ten łotr, Edmundzie?

EDMUND.

Stał tu w mroku nocy,

Z mieczem dobytym, mruczając bezbożne zaklęcia

I złe duchy wzywając sobie ku pomocy...

GLOSTER.

Gdzież on jest?!!

EDMUND.

Patrz! krwią broczę! to od jego cięcia!

GLOSTER.

Gdzież ten nędznik, Edmundzie?!

EDMUND.

Umknął od tą drogą!

Kiedy spostrzegł, że żadne namowy nie mogą.

GLOSTER.

Hej! za nim! za nim w pogoń!... Co? jakie namowy!

EDMUND.

Namawiał, bym cię zabił, Panie miłościwy!

Ale, kiedy mu rzekłem, że gniew Bogów mściwy

Wszystkich gromów swych ogniem ojcobójców sięga,

Gdym przedstawił, jak wielka, jak święta potęga

Tych węzłów, które z ojcem wiążą jego dziecko;

Widząc, jakim się gniewem, jakim wstrętem burzę,

Na te jego zamysły, przeciwne naturze,

Wściekły, z mieczem dobytym rzucił się zbójcecko

Na mnie, com stał bezbronny!... ręką się zasłonił,

Miecz spadł i ostrą klingą w kość moją zadzwonił...

Lecz gdy spostrzegł, jak chyżo, zrazu przerażony,

Duch się we mnie zapalił, jakim, świętą sprawą

Przejęty, śmiało stanął do mężnej obrony,

Czy też wszczętą przezemnie nastraszony wrzawą,
Nagle uciekł.

GLOSTER.

O! niechże najdalej ucieka!
W tym kraju nie popasie długo nie pojmany,
A pojmany nie długo na stryczek poczeka!
Szlachetny książę, Pan mój, zwierzchnik ukochany
I protektor, przybędzie tu dziś na noc jeszcze
W Imie jego po całej krainie obwieszczę,
Że mą łaskę i dary dostanie w podzięcie,
Kto tego tchórza, zbójcę wyda w moje ręce
Aby pod miecz katowski poniósł podłą szyję;
A śmierć, śmierć zuchwalcowi, który go ukryje!

EDMUND.

Gdym mu radził i prosił, by zmienił swe zdanie,
A widząc, jako przy niem stoi uporczywie,
Zaklął się, że przezemnie wydanym zostanie,
On mi na moje groźby odparł pogardliwie:
„Ty hołyszu! podrzutku! alboż ci cię roi
Że gdy kłamsto ci zadam, to, choć w skardze twojej
Najwięcej prawdy, cnóty i szczerości będzie,
Ktoś ci, bodaj na jotę, da wiary w tym względzie?
O nie! skoro zaprzeczę, — a z czołem zuchwałem
Przeczyć będę, chociażbyś i czarno na białem
Własnoręczne me na to stawiał dokumenta,
Wnet się każdy przekona że to podstęp, zdrada,

Że to twoja w tem wszystkim intryga przekłeta!
I wprzódbyś musiał zmienić świat w głupca nie lada,
Nimbyś mu wybił z głowy choć na jedną chwilę,
Że w mej śmierci dla ciebie jest pożytku tyle,
Iż łatwo podlegnięty przez podłą rachubę,
Możesz się najbezczelniej kusić o mą zgubę“.

GLOSTER.

A to łotr wielkiej ręki! Smiałybyś nikczemnie
Wyprzeć się swego listu?!... Nie! on nie przezemnie
Spłoszony!... Słyszysz? Trąby!... to książę przybywa!...
Co go tutaj przywiodło? nie zgadnę.... Wnet każe,
Zatarasować brawy i rozstawić strażę,
By się z tąd nie wymknęła żadna dusza żywa; —
Książę na to zezwoli; a we wszystkie strony
Rozeszle wizerunek podłego wyrodka,
By tem łatwiej poznany był i pochwycony.
Co do ciebie, poszukam skutecznego środka,
Mój ty wierny i szczerzy chłopcze, byś jak prawy
Syn mój, po mnie dziedziczył wszystkie me drzerżawy.

(Wchodzi ks. Kornwalji, Regana i Dworzanie.)

KS. KORNWALJI.

Cóż to jest, mój szlachetny przyjacielu stary?!
Zaledwie tutaj stanął, a już o me uszy
Obiły się nowiny prawie nie do wiary!

REGANA.

O! jeżeli to prawda, to nie ma katuszy

Dość strasznej na zbrodniarza takiego skaranie!
Cóż to jest, powiedz proszę! co tu zaszło Panie?!

GLOSTER.

Ach Pani! serce we mnie pękło! pękło serce!

REGANA.

Jakto? onżeby dzisiaj wyszedł na mordercę?!
Na ojcobójcę?! Zgroza!... On! ten ukochany
Syn chrzestny mego ojca! Edgar twój! o Nieba!

GLOSTER.

Ach Pani! Pani! tak jest! z hańbą wyznać trzeba!

REGANA.

Czy się tylko nie wdawał on z temi dworzany
Co orszak mego ojca składają burzliwy?

GLOSTER.

Nie wiem..... ach! to okropne! okropne!

EDMUND.

Tak, Pani!

Nieraz im dotrzymywał wesolej kompanji

REGANA.

Nie dziw więc, że się przejął ich zgubnemi wpływy;
Oni go to popchnęli na tę straszną zbrodnię,
Aby po śmierci starca hulać z nim swobodnie.
Koszttem krwawej puścizny.... Dziś właśnie wieczorem
Dobłą mi o nich siostra przysłała przestrogę!

To też kiedy mój ojciec z całym tym taborem
Zechce dom mój najechać, mnie tam nie zastanie.

KS. KORNWALJI.

Ani mnie też, Regano! zato ręczyć mogę.
Edmundzie! a tyś słyszysz, iście jak syn prawy
Usłuż ojcu swemu?

EDMUND.

Miłościwy Panie!

Spełniłem swą powinność.

OSWALD.

Wydał zamysł krwawy,
I chcą schwytać zbrodniarza, odniósł ot tę ranę!

KS. KORNWALJI.

Czy wysłane pogonie za zbójcą?

GLOSTER.

Wysłane.

KS. KORNWALJI.

To dobrze. Raz pojmany, już nikomu więcej
Złością swą nie zaszkodzi! W smutnej tej potrzebie
Wesprę cię całą siłą władzy mej książęcej.
Co do ciebie, Edmundzie, którego przymioty
Szlachetne, tak wymownie dziś świadczą za siebie.
Tyś mój! trzeba mi ludzi doświadczonej enoty,
Ciebie najpierw się chwytam.

EDMUND.

Gdy w tem dość wierności,
Potrafię służyć wiernie Waszej Wysokości!

GLOSTER.

O! dzięki ci za niego Panie miłościwy

KS. KORNWALJI.

Nie wiesz co nas sprowadza!

REGANA.

W czas tak niewłaściwy
W noc ciemną?... Zaszły u nas, szlachetny Glosterze,
Sprawy dość wielkiej wagi, w których twojej rady
Przyjacielskiej zasięgnąć dziś pragniemy szczerze.
Wszczęły się jakieś dziwne niechęci i zwady
Między ojcem a siostrą moją ukochaną.
Z tą i z ową ze skargą listy mi przysłano.
Na które, uważałem, że się lepiej stanie,
Gdy odpowiem nie z domu. Gońcy na odprawę
Tu czekają, my zasię na twe zdrowe zdanie.
Ukoj więc srogą boleść, rozważ ową sprawę
I radź nam, przyjacielu drogi!

GLOSTER.

Służęć Pani!
Władcyście mi, Jchmość księstwo, goście pożądani!
(wychodzą.)

S c e n a II.

PRZED ZAMKIEM GLOSTERA.

(Wchodzą Kent i Oswald ze stron rozmaitych.)

OSWALD.



Dobrej zorzy wam, bracie! Czyś z dworskiej drużyny?

KENT.

Abo co?

OSWALD.

Gdzie tu konie postawić?

KENT.

A w błocie.

OSWALD.

Powiedz mi, jak mię kochasz, a porzuć te kpiny.

KENT.

Kaduk tam ciebie kocha.

OSWALD.

Ta-ż ja nie dbam o cię!

KENT.

Oj! gdybyś w innem miejscu był mi zaszedł drogę,
Dbałbyś ty o mnie, bratku, za to ręczyć mogę!

OSWALD.

Jak śmiesz tak mię traktować? ja cię nie znam wcale!

KENT.

Ale ja, mój ty ptaszku, znam cię doskonale!

OSWALD.

I za kogoż mię bierzesz?

KENT.

Za łotra, łajdaka,
Pieczeniarza, pyczarka, głupca, łapserdaka,
Włóczęgę, co go każdy najmie za fagasa,
Za skurczybyka, burdę, tchórza i brudasa.
Eleganta, z królewskiej psiarni, co się stroi,
Muska, łasi, układa, ale śmierdzi gburem,
Chamem podłym, co z wielkiej usłużności swojej,
Gotówby zaraz zostać choćby i rajfurem,
Za zaś, gdzie razem w jednej zmieszali się kupie,
Oszust, hołysz, drapichrust, dogodnik plugawy!
Tyś podłego pokurcza syn i dziedzic prawy,
Co mi tu gwałt zawyjesz, tak ci skórę złupię,
Jeśli mi się ośmielisz przeczyć, że do joty
Wszystkie ci się te świetne należą przymioty.

OSWALD.

Okropny ty człowieku! jakże śmiesz tak srodze,
Lżyć kogoś, co ci nigdy nie stanął na drodze?
Nie znasz mię, raz się pierwszy spotkałem z Waćpanem!

KENT.

Okropny niegodziwcze ty z czołem miedzianem!
Jak ty się śmiesz wypierać mojej znajomości?
Wszakżem onegdaj stołka palnął ci kolanem
I wygrzmocił cię w obec Króla Jegomości!...

Dobądź miecza, ty głupcze! chociaż noc zacienia,
Księżyc świeci; przy jego blasku doskonale
Posiekam cię na zrazy!.. Broń się Kornwale
Ty podły!

OSWALD.

Precz! nie z tobą nie mam do czynienia!

KENT.

Broń się łotrze, co wozisz na króla potwarze,
I trzymasz stronę tego próżności bałwana,
Tej pysznej łątki, przeciw jej ojca i Pana!
Dobądź miecza, to zaraz tu ci grzbiet wyprażę!...
Broń się łajdaku!... (dobywa miecza.)

OSWALD.

Gwałtu! oj! zbójca! ratujcie!

KENT.

Bij się, podły! stój, tchórze! czekaj!... bij się gburze!..
Broń się, ty wymuskany urwipołciu!... nuże!..

OSWALD.

Gwałtu! zbójca!!!!...

(Wchodzi ks. Kornwalji, Regana, Gloster, Edmund i służba.)

EDMUND.

Co to jest? o co idzie? stójcie!

KENT.

I z Wami też kochanku? Dobrze, gdy życzycie!

Chodź tu, gładki paniezu, wnet Wam dam odprawę!

GLOSTER.

Z bronią! z mieczem! cóż to jest? co za kłótnie krwawe?

KS. KORNWALJI.

Stójcie! miecze do pochew, gdy wam miłe życie!...

Kto się porwie raz jeszcze, śmierć mu, zuchwalcowi!...

Kto jesteście? co powód zwady tej stanowi?

REGANA.

To są gońcy mej siostry i króla, jak widzę.

KS. KORNWALJI.

O co rzecz?

OSWALD.

Tchu mi braknie, Panie miłościwy!

KENT.

Nie dziw, po takiej męztwa twojego fatydze!..

Ha! ty tchórzez nikezemny! czyżes ty człek żywy?..

Nie! natura takiego psa wydać nie zdoła!

Uszył cię na kopycie jakiś szewc partola!

KS. KORNWALJI.

Szewc by uszył człowieka?! Co ten cudak plecie?!

KENT.

Tak jest Panie! Najpewniej szewc partacz; bo przecie

Nie z pod pędzla malarza, ani też z pod młota

Kamieniarza, nie mogła wyjść taka lichota,

Gdyby choć parę godzin przy pracy spędzili.

KS. KORNWALJI.

Niechże się dowiem, o co poszło wam w tej chwili?

OSWALD.

Oto ten stary zbójca, któremu z litości
Nad siwą jego brodą, jam życie darowałam...

KENT.

Kto ty, zawalidrogo! nędzna dziuro w moście!
Ty trutniu! tyś nad moją brodą się zlitował?!...
Panie! pozwól mi tylko, a nieokrzesany
Chłop ten wnet tu pod nogi zwali mi się z wrzaskiem,
I zdepcę go na wapno i pomieszam z piakiem
I cuchnącej kloaki pomażę nim ściany!

KS. KORNWALJI.

Milcz, łórze! znaj należne mi uszanowanie!

KENT.

Znam je, ale gniew także ma swe prawa, Panie!

KS. KORNWALJI.

Cóż cię gniewa?

KENT.

Że taki, jak ten łajdak, może
Być przy mieczu, choć nigdy nie był przy honorze!
Te łaszące się łotry umieją jak szczury
Najmocniejsze, najświętsze węzły przegryść snadno,
Którychbyś nie rozwiązał ludzką siłą żadną!
Głaszczą w panach swych wszelką krewkość ich natury.
Gdzie lód — śniegu, gdzie ogień — oliwy dodają;
Przeczą, twierdzą, jak trzeba; a kędy powionie
Wiatr pańskiego kaprysu, już ku owej stronie,

Jak istne zimorodki, dzioby obracają.

Wszelkiej czci, wszelkiej cnoty ludzkiej pozbawione,

Za panem tylko swoim w ślad biega, jak psiska!...

Cóż ci znowu za kaduk, łotrze, wlaźł do pyska?

Cóż się śmiejesz, jak gdybym plótl duby smolone?!

KS. KORNWALJI.

Czyś oszalał, ty dziadu!?

GLOSTER.

Co ta kłótnia znaczy?

Z kąd wam przyszło do bójki? to nam powiedz raczej.

KENT.

Nie ma tak wstrętnych sobie sprzeczności na świecie,

Jak ja i ten nikczemnik!

KS. KORNWALJI.

Niechajże wiem przecie,

Za co łżysz go? urazy twej jaka przyczyna?

KENT.

Dość już, że mi się jego nie podoba mina.

KS. KORNWALJI.

Tylko?! a może również ci się nie podoba

Z miny moja, lub jego, albo jej osoba?

KENT.

Szczerość, to główne życia mojego zadanie,

A więc powiem ci szczerze, miłościwy Panie,

Żem widział swego czasu nieco milsze tworze,

Niż te, na jakie teraz los mi patrzeć każe.

KS. KORNWALJI.

A to jeden z tych drabów, co raz pochwaleni
Wnet grubjaństwo, co w nich szczerością się mieni,
Za prostaczą otwartość, wnet przebiorą miarę;
Gwałtem wciągną na siebie, jak jaką maskarę
By się lepiej z właściwym ukryć charakterem.
Dobra dusza! prostaczek! on musi być szczerym,
Chcecie — dobrze, nie chcecie, a! to mniejsza o to!
On ma czem się zasłonić — pocziwą prostotą.
Znam ja takich hultajów! w każdym z nich się czai
Więcej pod tą szczerością zdrady i złej chęci,
Niżli w całej tych głupców uniżonej zgrai,
Co z przesadnem służalstwem u stóp nam się kręci!

KENT.

O ty, który swe jasne przepasałeś skronie
Łaskawością, jak wieńcem z ogniów, w których płonie
Światłonośnego człeka czoło promieniste!
Najmiłościwszy Panie! zaprawdę, zaiste...

KS. KORNWALJI.

Cóż chcesz przez to powiedzieć?

KENT.

Wybrnąć z tej manjery,
Którą Wasza wysokość gromi tak surowo.
Ja pochlebiać nie umiem, a kto szczerą mową
Oszukał Ciebie, Panie, to był łajdak szczerzy,
Jakim ja zostać nie chcę ni na jedną chwile,

Choćbym nawet niełaski twojej ściągnął tyle,
Iżbyś mię swemi k'temu zachęcał rozkazy.

KS. KORNWALJI (do Oswalda).

Jakiej człowiek ten doznał od ciebie obrazy?

OSWALD.

Nigdy, żadnej! Niedawno Pan jego, król stary,
Raczył na mnie swą rękę podnieść, Bóg wie za co;
Wówczas, chcąc się pochlebić jemu, ten ladaco
Podbił mię, zwałił, zelżył od czci i wiary,
I hardo zadarł głowę, widząc, że mu płacą
Za to, że się porywa z językiem i dłonią
Na tych, co się ni jednym ni drugim nie bronią.
Owóż więc zachęcony do tak wielkich czynów,
I tu się rwie zuchwale, chcąc nowych wawrzynów.

KENT.

Gdy człek patrzy na podłe te tchórze, hultaje,
To sam starzec się przy nich istnym błaznem zdaje!

KS. KORNWALJI.

Hej! dyby!... ty uparty jakiś łotrze siwy,
Ja cię tutaj nauczę, samochwalco stary!

KENT.

Za późno mi się uczyć panie, miłościwy!
Nie dla mnie twoje dyby, zmień groźne zamiary!
Jam sługa króla pana, jego list przywożę.
Za małobys więc czci mu należyj okazał,

Za dalekobyś zaszedł w zuchwałej przekorze,
Jeśli byś jego posła w dyby zabić kazał.

KS. KORNWALJI.

Dyby!... jak mi cześć miła, tak w nich łotra tego
Potrzymam do południa!

REGANA.

Do południa? mało!
Aż do nocy mój Panie, a nawet noc całą

KENT.

Pani! gdybym był nawet psem ojca twojego
Tak byś mię poniewierać srodze nie powinna!

REGANA.

Inna rzecz pies pocziwy, podły sługa — inna.

KS. KORNWALJI.

Jest to jeden z tej samej zgrai bez pochyby
O której siostra pisze... Dalej, łotrze, w dyby!

GLOSTER.

Panie! daj się ubłagać! nie czynń tego, Panie!
Srodze winien i pewno skarconym zostanie
Od króla Pana swego; ona zaś wzgardliwa
Kara, jaką mu grozisz, tylko się używa
Na ostatnich nędzników, za kradzież, lub inne,
Równie podług ustawy przewinienia gminne.
Król może źle to przyjąc, kiedy się przekona,

Jak cześć jego w osobie posła poniżona,
Jeśli go spotka tutaj pokuta tak ostra.

KS. KORNWALJI.

Sam ja za to odpowiem.

REGANA.

Gorzej moja siostra

Może przyjąć, gdy do niej dojdzie tam nowina,
Jaka napaść, zniewaga, jaki to gwałt srogi
Pod mojem własnem okiem spotkał dworzanina
Co przybył z jej zleceniem!... Zabijcie mu nogi.
(Kenta zabijają w dyby).

Pójdźmy ztąd. (Regana i Ks. Kornwalji wychodzą.)

GLOSTER.

Przyjacielu! srodze to mię boli,
Co tu ciebie spotyka, lecz to rozkaz księcia;
A on, wszyscy to wiedzą, nigdy nie pozwoli
Zlekceważyć lub przeprzeć swego przedsięwzięcia!
Będę błagał go jeszcze....

KENT.

Daj mu pokój, bracie!

Z hasałem się w podróży i czuwałem długo;
Połowę czasu przespię, a przegwiżdżę drugą...
Fraszka!... nieraz pocziwiec bywa w tarapacie.
Do widzenia!

GLOSTER.

Tak! książę za to wart nagany!

Krok ten pewno mu za złe będzie poczytany. (wychodzi.)

KENT.

Dobry królu! jak widzę, toś przysłowie gminne
Sprawdził na własnej głowie: z deszczu wpadł pod rynnę!...
Błyśnij Boża pochodnio wśród tych ziemskich cieni,
Abym przy błogim blasku twych złotych promieni
List ten przebiegł...— W niedoli tylko człowiek może
I ujrzeć, i uwielbić wielkie cudo Boże...
To pismo od Kordelji, która cudem prawie
Wieść powzięła o mojej tajemnej wyprawie,
I pewno znajdzie sposób, z tego topieliska
Wyrwać tych, którym zguba już zagraża bliska....
Znużone oczy moje! niech wam sen pomoże
Nie patrzeć na sromotne me dzisiejsze łoże!
Dobranoc ci, fortuno! obróć swoje koło,
A usmiechnij się do mnie raz jeszcze wesoło.

S c e n a 3.

(Dzikie leśne ustronie.)

WCHODZI EDGAR.

EDGAR.



Słyszałem swoje imię pośród dzikiej wrzawy....
Szczęście, że znalazł drzewo spróchniałe, odwieczne,
W którym mogłem się ukryć od strasznej obławy,
O! gdzież znajdę ostoję? gdzie miejsce bezpieczne,

Gdzieby na moją biedną nie czyhały głowy
Tłumna pogoń i czaty, porwać mię gotowe?!...
Szczwany wciąż, dobrze siebie zabezpieczyć muszę:
Przybiore na się postać tak podłą, tak wstrętną
Jaką tylko ostatnia nędza ludzką duszę
Znikczemnia, kładąc na niej zbydlęcenia piętno.
Błotem sobie i prochem twarz zesmołę całą,
Biodra płachtą przepaszę, w kołtun zbiję włosy,
I na wiatr wystawiając obnażone ciało,
Do walki z burzliwemi wystąpię niebiosy.
Mam gotowy przed sobą wzór i wykład taki:
Stanę się jak Bedlamskie szalone żebraki,
Co jęcząc wniebogłosy, samochcąc kaleki,
Z wrażonemi w wychudłe, nagie swe ramiona.
Ostremi gwoźdźmi, cierniem, szpilkami i ćwieki,
Obleczone w okropne te krwawe znamiona,
Obchodzą dworki, wioski, lepianki ubogie.
I bądź przez modły, skargi i prośby i płacze,
Bądź przez klątwy i wrzaski, opętane, srogie,
Do miłosierdzia serca zmuszają prostacze.
Biedny Tarligud, Tomez to coś znaczy przecie,
A Edgar.... Edgar dzisiaj niczem jest na świecie.

Scena 4.

(Przed zamkiem Glostera).

WCHODZI LIR, BŁAZEN I RYCERZE.

Kent w dybach.

LIR.



zecz dziwna, że tak nagle wyjechali z domu,
Nie odprawivszy nawet nazad gońca mego!

RYCERZ.

Dowiedziałem się, Panie, że dnia wczorajszego,
Ten wyjazd, jeszcze w głowie nie powstał nikomu.

KENT.

Cześć Waszej Wysokości!

LIR.

A toż co za dziwy?!

Czyż można, byś się w żarty tak sromotne bawił?!

KENT.

Ej! nie żarty to wcale, Panie Miłościwy!

BŁAZEN.

Cha, cha, cha! toż mu tęgie ktoś podwiązki sprawił!...

Konie za łby, niedźwiedzie i psiska za karki,

Małpy wiążą za biodra, a ludzi za łydki,

A kto w nogach zanadto krzepki i za szparki,

Temu się nadziewają drewniene szkarpetki.

LIR.

Któż to jest co tak godność sponiewierał twoją,
Że cię tutaj osadził?

KENT.

To oni oboje

Razem — syn twój i córka.

LIR.

Nie!

KENT.

Tak!

LIR.

Nie, powiadam!

KENT.

Tak, powiadam.

LIR.

O nie! nie! stokroć fałsz ci zadam!

KENT.

Stokroć prawdę powtórzę.

LIR.

Nie! klnę się na Bogi!

KENT.

Tak! klnę się na Boginie!

LIR.

Oniby nie śmieli,

Nie mogliby się zbrodni dopuścić tak srogiej!...

Zamiast czci, taka hańba!.. toż gorsze niżeli

Sama śmierć!... Zdaj mi sprawę dokładnie a krótko,

Co było tej zniewagi istotną pobudką?

Jakeś ty, za mnie stojąc, mógł ją ściągnąć sobie?
Jak oni ją mnie zadać mogli w twej osobie?

KENT.

Miłościwy mój Panie! gdym przybył w ich progi,
I doręczył te listy, nimem wstał na nogi
Z miejsca, gdzie przystało, zgietemi kolany
Hołd im złożył należny, — nagle wpadł zjajany
Drugi goniec, w gorącym znoju uskwarzony,
Bez tchu prawie, — tak spieszył z czułemi pokłony
Od córki wysokości Waszej, Goneryli,
Dostojnej Pani swojej, — wpadł i w tejże chwili
Podał im jej pisanie, które spiesznie oni
Przebiegłszy, wnet zwołali orszak i do koni!
Mnie kazali za sobą, aż upatrzą porę
Swobodną, w której od nich odpowiedź odbiorę,
I zimno odprawili z przed swego oblicza.
Kiedym więc tutaj spotkał owego panieca,
Który swoim przybyciem tak mi moje zwarzył,
I gdym poznał, że właśnie jest on tym fagasem,
Co nie dawno tak hardo Wam się stawić ważył;
Krew zawrzała! rozsądek nie dotrzymał placu,
Uderzyłem nań; ale tchórz ten swym hałasem
Takiego gwałtu w całym narobił pałacu,
Żem musiał miecz do pochew. I owoż jest wina,
Która w oczach twej córki czcigodnej i syna
Urosła w takie dziwne, potworne rozmiary,
Że uznali mię godnym tej haniebnnej kary.

BŁAZEN.

Niech ojciec wdzieje wytarte łachmany,
Dzieci ze wstrętem wnet oczy odwróca;
Niech stanie w złoto, klejnoty przybrany
Do nóg mu z całym efektem się rzuca.
Bo ta włóczęga fortuna niecnoza,
Nigdy w nędzarzy nie zachodzi wrota.
Będiesz ty od swych córek miał tyle boleści,
Że i na byczej skórze lik się ich nie zmieści!

LIR.

O jakże mi do serca podchodzą te męty!
Precz srogi napastniku! precz bolu przeklęty!
Nie ma dla cię już pastwy!... Ha! i gdzież jest ona,
Ta córka?!

KENT.

Razem z księciem w zamkowej komnacie.

LIR.

Ide tam! wy zostańcie... (wychodzi).

RYCERZ (do Kenta).

Powiedz szczerze bracie,
Żadnaż to inna zbrodnia przez cię nie spełniona,
Prócz tej, o której mówisz?

KENT.

Żadna!... ale jakim
Trafem król się tu wybrał z tak małym orszakiem?

BŁAZEN.

Gdyby cię w dyby wzięto za takie pytanie,
Rzekłbym wówczas, że dobrze zasłużyłeś na nie!

KENT.

Czemu?

BŁAZEN.

Do mrówki do szkół oddaćby cię, żaku,
Żebyś poznał, że zima to czas nie roboczy.
Każdego, co za nosem idzie, wiodą oczy,
Chyba ślepy; a zdrowy nos każdy bez braku
Zwietrzy tego co cuchnie. Nie łap się rękami
Za wóz gdy z góry pędzi, bo ci gnaty złamie;
Lecz gdy idzie pod górę chwytaj się go śmiało,
A na szczyt cię wydzwignie i zdrowo i cało.
Jeśli ci lepszą radę poda mędrzec jaki,
To moją zwróć mi nazad, niech przy mnie zostaje, —
Chciałbym żeby jej tylko słuchały łajdaki,
Kiedy ją błazen podaje.

Kto ci dla zysku, Panie mój służy,
Kto się układa, łasi z pokorą,
Umknie, gdy czarne chmury się zbiorą
Rzuci samego ciebie wśród burzy.

Ale ja wytrwam, błazen zaczeka,
Gdy mądry ciebie odstąpi, Panie!
Błaznem się staje łotr, co ucieka,
Błazen się nigdy łotrem nie stanie.

KENT.

Gdzież to się, mój ty błaznie nauczyłeś tego?

BŁAZEN.

Nie w dybach, mój ty kolego.

(powraca Lir z Glosterem).

LIR.

Co?! mówić ze mną nie chcą? chorzy, skołatani

Cieężką nocną podróżą?! wierutne wykręty!...

Cóż to? czy już i tutaj rokosz rozpoczęty?!

Idź po lepszą odpowiedź!

GLOSTER.

Miłościwy Panie!

Wszak wiesz co za gwałtowność w księcia charakterze

Co za stałość niezłomna w tem co przedsięwzięje?!

LIR.

Pomsta! śmierć! wszystkie razem plagi i katusze!

Co?! gwałtowność?! charakter! Co?!... Jakto Glosterze?!

Glosterze! czy mię słyszysz? ja natychmiast muszę

Widzieć księcia Kornwalji i księżnę!

GLOSTER.

Tak Panie!

Tak właśnie przedstawiłem im twoje żądanie.

LIR.

Przedstawiłeś?... rozumiesz że mnie należycie?

GLOSTER.

Rozumiem dobry Panie!

LIR.

Król chce widzieć księcia,

Ojciec czuły chce widzieć swe rodzone dziecię!

Ojciec żąda posługi od swego dziecięcia!...

Tchu mi brak!... krew się burzy!.. gwałtowny! słyszycie?!

Gwałtowny książę!... ze mną! ze mną, wielki Boże!...

Idźże a powiedz temu tam gwałtownikowi,

Że... nie! czekaj! a może na prawdę niezdrawi?

Chory nieraz zaniedbać obowiązków może,

Które zdrów rad wypełnia. Nie jesteśmy sobą

Gdy natura, zgnębiona, niszczącą chorobą,

Razem z ciałem i duszy naszej cierpieć każe.

Przebaczę; pobłdziłem w uniesienia żarze,

Kładąc te, słabych chorych, mimowolne winy

Na karb złej woli zdrowych. (spoglądając na Kenta)

Biada mojej głowie!

Za co on tutaj siedzi?!... Czy też takie czyny

Nie dowodzą mi jasno, że kłamiąc niezdrawie,

I niby dla spoczynku kryjąc się odemnie,

Ona i książę na mnie coś knują tajemnie?!...

Puścić go!... Idź a powiedz książęciu i księżnie,

Że chcę z nimi tu mówić, zaraz, w oka mgnieniu!

Niech przyjdą, niech słuchają, życzą czy nie życzą;

Albo wnet pod ich drzwiami każe tak potężnie

Bić w kotły, aż im wreszcie *wieczne odpocznienie*

Straszliwym głosem zaryczą!

(Gloster wychodzi.)

O biada sercu memu! o jakże się miota!

Cicho bądź (uderza się w piersi).

BŁAZEN.

Zrób z niem, stryjciu, jak owa niecnota
Kucharka z smażonemi żywcem węgorzami:
Gdy się wiły, jak wściekle, w patelni na żarze,
Ona po łbie ich łyżką! a cicho figlarze! —
Bratem jej był rodzonym ów, co go widziano,
Jak z dobroci swym koniom dawał z masłem siano.
(Wchodzi ks. Kornwalji, Regana, Gloster i służba.)

LIR.

Dzień dobry wam!

KS. KORNWALJI.

Cześć tobie Miłościwy Panie!

(Kenta uwalniają.)

REGANA.

Witam Waszą Wysokość i z sercem Wam rada.

LIR.

Wierzę ci! chcę Regano mieć to przekonanie;
A do chęci tej swojej mam powód nie lada!...
O! bo gdybyś mię innym witała sposobem,
Tobym się musiał rozwieźć z twojej matki grobem,
Co kryłby wiarołomnej żony podłe kości!

(do Kenta.)

Wolnyś!?... no, potem o tem.... O Regano miła!
Niegodna siostra twoja, tu, tu mi się wpiła,

Jak sęp dziki ostremi szpony niewdzieczności!..

Ha! ledwie mówić mogę!... a moja Regano!

Gdyby ci jej spodłona dusza była znana!..

REGANA.

Proszę cię, Panie, miarkuj swe gniewne zapędy!

Sądzę, że to ty raczej nie znasz jej zasługi,

Nie zaś ona pomija należne ci względy.

LIR.

Co? co? co chcesz powiedzieć?... powtórz mi raz drugi!

REGANA.

Panie! co do mej siostry, nigdy nie uwierzę,

By mogła powinności swej w najmniejszej mierze

Względem ciebie, uchybić. Jeśli rozhukany

Twój orszak, (jak przypuszczam) chciała ująć krótko,

To była w tem wiedziona tak słuszną pobudką,

Że ta wolną ją czyni od wszelkiej nagany.

LIR.

Przeklęstwo jej!

REGANA.

O Panie! w późnej życia dobie,

Gdy się wszystkie twe władze ku schyłkowi kłonią,

Potrzeba, aby inny ktoś radził o tobie,

By wspierał i prowadził cię życzliwą dłonią

Ktoś, co lepiej, niż ty sam, dobro twe ocenia;

Dla tego, zechciej proszę, spełnić me życzenia,

Racz się udać z powrotem znów do mojej siostry

I wyznaj, żeś był dla niej niesłusznie zbyt ostry.

LIR.

Przebaczenia mam prosić?! Patrz, a uważ przecie,
Jak to czei i powadze ojcowskiej przystanie:
„Droga córko! jam stary, wiek mię srodze gniecie!

(kłęka)

Na kolanach tu błagam cię o zmiłowanie!
Żebrzę tylko przytułku! chleba okruszyny!“

REGANA.

Dość tego! porzuć Panie te niesmaczne drwiny!...
Wracaj do mojej siostry.

LIR.

O! nigdy Regano!....

Ona mi wyrządziła krzywdę niesłychaną!
Rozpedziła mój orszak niemal do połowy,
Mnie i moich w ostatniej mając poniewierce;
Wzrokiem pełnym niechęci, zjadliwemi słowy;
Jak gad zębem zatrutym razila mię w serce!..
O! wszystkie pomsty razem, co ich Niebo zmieści,
Niech spadną na jej głowę! niech wszystkie boleści
Uderzą w nią i złamią w niej kości jej młode!..

REGANA.

O zgroza!.. wstydz się Panie!...

LIR.

O wy, błyskawice!
Bijcie ogniem ślepiącym w harde jej zrenice.
Strawcie srogą zarazą jej wdzięczną urodę

Wyziewy, które słońce swych upałów siłą
Gdzieś z gnijących, zatrutych bagnisk wydobyło,
By się w niwecz jej cała obróciła pycha!

REGANA.

O Bogi! i mnie takż kłtwa spotkać może
Lada wybuch w twym, Panie, niestałym humorze.

LIR.

O! nie bój się Regano! tyś tkliwa i cicha
Zkądże gniew, z kąd się kłtwy wziąć dla ciebie mogą?..
Jej oczy ogniem zioną, twe jasnością błogą
Radują, lecz nie palą. Byłażbyś ty w stanie
Truć mi wszystko, w czym tylko mam upodobanie?
Rozpędzać moje sługi złością potajemną,
Skąpić chleba, ząb za ząb ujadać się ze mną,
Drzwi mi wreszcie przed nosem zamknąć na wrzeciadze?..
O, nie! wierzę i pewno w tej wierze nie błądzę,
Że nie wygasły w tobie uczucia wrodzone,
Że wiesz co to jest miłość? co to cześć dziecinna!
I jakąś mi uprzejmość, jaką wdzięczność winna,
Za tę na głowie twego małżonka koronę
I połowę królestwa, com ci oddał w wianie?!

REGANA.

O cóż ci wreszcie idzie miłościwy Panie?

LIR.

Kto mi sługę znieważył?

(Odgłos trąb za sceną.)

KS. KORNWALJI.

Cóż to? głos trąb słyszę....

REGANA.

Czy nie siostra? bo, sądząc z tego, co mi pisze,
Jużby tu być powinna w celu podróży.

(wchodzi Oswald.)

Czy przybywa twa Pani?

LIR.

To ten niegodziwy

Hultaj, co się tak puszy, trzymając się grzywy
Pstrego konia łask wielkich tej, u której służy.
Precz mi z oczu, ty łotrze!

REGANA.

Panie! o co idzie?

LIR.

Kto mi sługę znieważył?... Sądzę żeś we wstydzie,
Jaki mu przez haniebne te dyby zadano,
Nie wiedziała nic a nic? nie prawdaż Regano?

(wchodzi Goneryla.)

Ha! co widzę? i któż to przybywa?! O Bogi!

Jeśli starzec do waszej litości ma prawa,

Jeżeli ojca każe czcić wasz zakon błogi,

Jeśliście sami starzy, — niechże moja sprawa

Będzie waszą! o znijdźcie stanąć po mej stronie!

(do Goneryli)

Czyliż ci ogniem wstydu oblicze nie płonie,
Na widok mojej brody?... Regano! ty dłonie
Jej podajesz?

GONERYLA.

I czemuż by podać nie miała?
Albożem zawiniła. Nie wszystko to, Panie,
Winą jest, co urości zbytnie wymaganie,
Lub co winą nazywa starość zdzieciniała.

LIR (uderzając się w piersi.)

O ty skrzynio boleści! z twardegoś ty drzewa,
Żeś dotychczas nie pękła!.... kto mi dworzanina
Uwięził?

KS. KORNWALJI.

To ja, Panie! Niech to cię nie gniewa,
Bo nie tak błahej kary godna jego winą.

LIR.

Tys to zrobił?! ty?!....

REGANA.

Proszę, uspokój się ojcze!

Przy twym słabym umyśle, mogą być zabójcze
Skutki takich uniesień.... Teraz ci należy
Powrócić do mej siostry, i, podług umowy,
Mieszkać u niej, dopóki miesiąc nie ubieży,
Zmniejszywszy swą zuchwałą świtę do połowy.
Potem do mnie zawitasz. Dziś w gościnie bawię,
Dom mój próżny, wyzuty ze wszystkiego prawie,
Co koniecznie potrzebne ku twemu przyjęciu.

LIR.

Do niej wrócić!... odprawić ludzi pięćdziesięciu!...
Nie! raczej wszelkiej strzechy zrzekę się na ziemi,
Raczej stanę do walki z niebiosy wrogami,
Za towarzysze wezmę wilki i puszczyki,
Znaglony ostrym szponem musu!... Do niej wrócić!...
Tożby jedno mi było, co się na kolana
Przed tronem tego Franka gwałtownego rzucić,
Co mą córkę najmłodszą zaślubił bez wiana,
I jak lichy pacholek, żebrać uniżenie
O jurgielt, by to nędzne podtrzymać istnienie!...
Do niej wrócić!.. o! radź mi, a bardziej ochoczo
Przystanę za parobka, za szkapę roboczą
Do podłego fagasa tego! (wskazując na Oswalda).

GONERYLA.

Wolność, Panie!

LIR.

O córko, córko moja! o miej zmiłowanie!
Przestań! bo oszaleje moja biedna głowa!..
Już ci dłużej nie będę zawadzał! bądź zdrowa!
Już się nigdy nie ujrzym, nie spotkamy z sobą!..
Lecz tyś mojem dziecięciem, ciałem i krwią moją!
A raczej tyś w mem ciele najcięższą chorobą,
Którą muszę nieszczęsny, zwać koniecznie swoją!
Tyś z krwi mojej zepsutej zarazliwym gnojem,
Wrzodem!... ale nie dotknę cię przekleństwem swoim!

Hańba może przyjść na cię, lecz ja jej nie wołam,
Nie błagam Gromowładcy by uderzył w ciebie,
Ni cię skarzę przed sędzią najwyższym na niebie!
Odmień się, jeśli możesz; bądź lepszą! ja zdołam
Być cierpliwym, zostanie tutaj przy Reganie
Ja i stu mych rycerzy.

REGANA.

Nie koniecznie, Panie!
Niespodzianką jest dla mnie dziś twoje przybycie
I nie mogłabym cię przyjąć należycie.
Posłuchaj mojej siostry, a nie dawaj wiary
Tym, co słuszność przyznają w twojej pasji tobie,
Oni cieszą się tylko, myśląc żeś już stary,
A zatem... ale ona wie dobrze co robi.

LIR.

I dobrze to, co mówisz?

REGANA.

Dobre, twierdzą śmiało.
Pięćdziesięciu rycerzy! cóż? czy tego mało?
Trzebaż więcej, a nawet tyle? w jakim celu?
Taka zgraja jest tylko ciężarem i strachem!
Bo czyliż można myśleć, by ludzi tak wielu—
W przyjaźni z sobą mogło żyć pod jednym dachem,
I to jeszcze dwóch panów słuchając z osobna!
O trudno, bardzo trudno, prawie niepodobna!

GONERYLA.

A zresztą wszak na moim jak i na jej dworze
Dość służby; czyż ta, Panie, Wam starczyć nie może?

REGANA.

Czyż nie może? A gdyby nasi ludzie śmieli
Niedbale się sprawować przy twym Panie, boku,
Tobyśmy przecie mogły mieć ich w tem na oku.
Poznawszy, co mi grozi, proszę Cię, jeżeli
Zechcesz do mnie zawitać, Panie, w odwiedziny,
Weźmij ze sobą dworzan tylko ćwierć seciny,
Więcej ani znać nie chcę i w domu nie zmieszczę.

LIR.

Jaż wam wszystko oddałem!...

REGANA.

I to w sam czas jeszcze!

LIR.

Całe mienie złożyłem u was w depozycie
Wam w opiekę oddałem swój spokój i życie,
Zawarowawszy sobie tylko stu rycerzy.
Lecz gdy zechcę do ciebie przybyć, to należy
Mieć mi tylko dwudziestu pięciu? tak Regano?

REGANA.

Tak Panie, — i dość tego.

LIR.

Te szpetne istoty

Zdają się jeszcze wcale i wdzięczne i hoże,

Kiedy do porównania obok innych staną,
W których nierównie więcej spostrzegasz brzydoty...
Nie być najgorszym, jeszcze za chwałę ujść może!..
A więc z tobą się udam! (do Goneryli).

Twoich pięćdziesięciu

Jest już dwa razy więcej niż dwudziestu pięciu,
I miłość twa więc musi większą być dwa razy.

GONERYLA.

Panie! czyż ci koniecznie pięćdziesiąt potrzeba?
Dziesięć, albo pięć nawet? kiedy z łaski nieba
Całą świętą w mym domu masz na swe rozkazy?

REGANA.

A nie! nawet i jeden nie potrzebny na nic!

LIR.

O nie kładźcie potrzebom takich ścisłych granic
Najnędnieszy nasz żebrak wśród nędznych rupieci
Ma coś jeszcze, co zbytku pozorem zaświeci!
Nie pozwólcie naturze nic od potrzeb więcej,
A żywot ludzki będzie to żywot bydlęcy!
Tyś Pani; czyż dla tego stroisz się wspaniale,
By od chłodu i słoty okryć ciało swoje?
Naturze niepotrzebne te wspaniałe stroje,
Kiedy ciebie wspaniałość nie ogrzeje wcale...
Ale co do potrzeby prawdziwej, o nieba,
Ach dajcie mi cierpliwość! jej mi, jej potrzeba!...
O Bogi! patrzcie otom biedny starzec siwy,
Jako w lata bogaty, tak w bole i smutki,

I przez lata i smutki równo nieszczęśliwy!
O Bogi miłosierni! gdy z waszej pobudki
Serca się moich córek tak zawzięły na mnie,
O! to zbawcież mię od tej głupoty przynajmniej,
Bym tego poniżenia nie znosił łagodnie!
Zapalcie mię szlachetnych gniewów płomieniami,
A niech mi łza niewieścia lic mężkich nie płami!...
O! nie, jędze potworne! ja za wasze zbrodnie
Taką pomstę z was wezmę, że cały świat Boży...
Wymyśle coś takiego... coś... nie wyobrażę
Sam jeszcze, jaką zgrozę moja wściekłość stworzy,
Lecz czuję, że nią ziemię i niebo przerażę!...
Czy myślicie, że płakać tu będę przed wami?!
Nie zapłacę, choć serce wezbrało płaczami,
Lecz ono wprzód mi pęknie, rozprysnie się w łonie
W milion części nim jedną łzę dla was uronię!...
Błaźnie mój oszaleję!... (wychodzi Lir, Gloster, Kent i Błażen).

KS. KORNWALJI.

(grzmot się daje słyszeć) Burza się zaczyna,
Pójdźmy ztąd!

REGANA.

Nie podobna w ciasnym domu takim
Pomieścić tego starca wraz z jego orszakiem.

GONERYLA.

Jeśli mu źle, to własna tylko jego wina;
Sam swój spokój zakłócił; niechajże niebaczny
Zakosztuje jak owoc nierozsądku smaczny!

REGANA.

Gdyby sam jeden tylko chciał zamieszkać ze mną.
Przyjąłabym, lecz z jego orszakiem — daremno!

GONERYLA.

To samo też i moim jest właśnie zamiarem..
Ale gdzie hrabia Gloster?

KS. KORNWALJI.

Udał się za starym;

Ale oto powraca. (Gloster wchodzi).

GLOSTER.

Król w okropnym gniewie.

KS. KORNWALJI.

Gdzież się udać zamyśla przy blizkiej ulewie?

GLOSTER.

Woła na koń, lecz nie wiem jaką ruszy drogą.

GONERYLA.

Niech rusza jaką zechce, wszak ma wolną wolę.

REGANA.

Pod żadnym go pretekstem wstrzymać nie pozwolę.

GLOSTER.

Niestety! noc nadchodzi, burza grzmi złowrogo,
A żadnego przytułku na wiele mil w koło!..

REGANA.

Ha, Panie! upartemu najlepszą jest szkołą
To nieszczęście, jakiego sam sobie napyta...

Każ dobrze obwarować bramę; jego świta
Z ludzi się, co na wszystko ważyć mogą, składa;
Kto zgadnie, jaka teraz przyjdzie jemu rada
Od tych, co wodzić za nos zwykli swego Pana?
Miejmyż się na baczności, gdy chcemy być cali.

KS. KORNWALJI.

Każ zamknąć wrota; dobrze nam radzi Regana....
Co za straszna noc! spieszymy! burza wnet się zwali.

Koniec aktu IIgo.

AKT III.

Scena I.

Dzikie pole. Burza.

KENT I DWORZANIN SPOTYKAJĄ SIĘ.

KENT.

to to jest, wśród tej burzy?

DWORZANIN.

Myśląca istota,

Co się w myślach, jak w burzy najstraszliwszej miota.

KENT.

Znam cię... Gdzie król?

DWORZANIN.

Z srogimi walcząc elementy,
Woła, by wichur ziemię zmiotł w morskie odmęty,
Lub ją zalał wzburzonych wód wszystkich nawałą,
By się, co jest, zmieniło, albo być przestało.



Rwie z głowy włosy białe jak łabędzie puchy
I rzuca w oczy burzy, która z ślepem czołem
Gwałtownemi je wściekle porywa wydmuchy
I obraca w nie; światem swym człowieczym, małym,
Wrywa nawałnicę, co tam sam nim ciska;
W noc tę, gdy się nie ruszy niedźwiedź z legowiska,
I zgłodniały wilk radby sierść zachować suchą,
On, z głową obnażoną biega wśród tej dziczy,
Okropny, i rozkazy szalonymi krzyczy
Na moc groźnych żywiołów zażartą a głuchą!

KENT.

Jest-że kto z nim?

DWORZANIN.

Z orszaku nikt nie został zgola;
Błazen tylko, co żarty swojemi nie zdoła
Rozweselić mu serca co się krwią oblało!

KENT.

Znam cię, i ufny w twoją przenikliwość, śmiało
Powierzę ci niezmiernie ważną tajemnicę.
Jest tu waśń, co dotychczas jeszcze swoje lice
Pod maską obustronnej obludy ukrywa,
Waśń Albana z Kornwalem. Ta i owa strona
Ma, jak zwykle ci, których losowi szczęśliwa
Świetna gwiazda panuje, wysoko wzniesiona,
Ma, powiadam swe sługi, co im służą wrzkomo,
A dla Franka szpiegują i knują kryjomo.
Tak, że zna on spraw naszych dobrze postać całą;

Wie o wszystkim, co dotąd tu się wykazało.
Czy przez książąt wzajemne intrygi i swary,
Czy przez tę dumną wzgardę, jakiej król nasz stary,
Dobry król nasz, od obu ich doznaje równo,
Co wszystko nie jest pono tutaj rzecz główna,
Ale tylko dodatkiem do czegoś, co siega
Jeszcze głębiej.... bądź co bądź, lecz Franka potęga
Widocznie w tem rozdartem królestwie się wzmaga.
Korzystając z niedbalstwa naszego, on zdradnie
W najlepszych naszych portach skrytą siłą władnie,
A rychło się i jawnie wzniesie jego flaga;
Owoż więc, jeśli możesz liczyć na me słowo
Do tyła, by do Duwru z tad pobiedz co żywo,
Spiesz, a wdzięczną nagrodę znajdziesz tam gotową.
U kogoś, komu podasz wiadomość prawdziwą,
Jak okropne król cierpi dociski i smutki,
Jak święte do bronienia jego są pobudki,
Jam szlachcic z obyczaju i krwi, miły bracie,
I wiem dobrze, co czynię, kiedy wkładam na cię
Ten ważny obowiązek.

DWORZANIN.

Później Waszej Cześci
O coś więcej chcę spytać...

KENT.

Nie pytaj mój Panie!
Abyś zaś lepsze o mnie powziął przekonanie,

Masz! otwórz tę sakiewkę, weź, co w sobie mieści,
I wiedz, że choć nie strojnym, znaczę coś, gdym hojny.
Jeśli ujrzysz Kordelję (o co bądź spokojny)
Pokażesz jej ten pierścień, a ona ci powie,
Jak się twój, dziś nieznany, współtowarzysz zowie.
Tfu! co za podła burza!... Króla szukać muszę...

DWORZANIN.

Daj mi rękę!... Masz jeszcze co do powiedzenia?

KENT.

Do powiedzenia mało, więcej do czynienia.
Oto szukajmy króla! — ja tą stronę ruszę,
Ty tamtą — kto go pierwszy spotka, bracie miły
Natychmiast na drugiego hukać ma co siły.

(rozchodzą się w przeciwne strony.)

Scena 2.

Inna część dzikiego pola.

WCHODZI LIR I BŁAZEN.

LIR.



Bmij wietrze! dmij! aż pęknieś wściekły wysileniem!
Chluszczecie wodospadami nawałnic, wy chmury
Aż wieże zatopicie, zalejecie góry!

A wy siarczyste ognie, siejące zniszczeniem,
Świat wstrząsających gromów wy pyszne zwiastuny,
Osmalcie włos mój biały! Wy straszne pioruny!

Bijcie, aż się rozplaszczy krągła ziemi bryła!
Zdruzgoccie wszystkie formy natury! zetrzyjcie
W proch i zniszczcie zarodki, z których bierze życie
Człek niewdzięczny!....

BŁAZEN.

Stryjaszku! ejże lepiej pono
W suchym domu przed wodą modlić się święconą,
Niżli tutaj na dworze przed wodą deszczową,
Co nie ma zmiłowania ni nad mądrą głową
Ni nad głupią. Wróć, błagaj u córki litości
A może się rozculi i przebaczy jeszcze.

LIR.

Rycz gromie! plujcie ognie! chluszczcie we mnie deszcze,
Nie zarzucę wam za to dzikiej niewdzięczności;
Jam nie zrodził was, nie dał wam berła ni ziemi,
Ani was czule dziećmi nie nazywał swemi,
Wyście nic mi nie winne, śmiało więc możecie
Napaść tu do sytości dzikie chucie swoje!
Wzgardzony starzec, biedny, bezsilny jak dziecko,
Patrzcie, oto przed wami, jak niewolnik stoję.
Lecz śmiem jeszcze was samych zwać niewolniczymi
Śługami! bo wspieracie hufy niebieskimi
Te dwie córki, szkodnice, boście z niemi w zмовie
Przeciw tej takiej białej, takiej starej głowie!
O hańba wam!...

BŁAZEN.

Nad wszelkie szyszaki stalowe
Lepszy jest dach, gdzie człowiek może wściubić głowę.

Gdy dla ogona przemyślasz o chacie,

Póki dla głowy chaty jeszcze brak,

Ogon i głowę razem stracisz, bracie!

Nie jeden hołysz już doświadczył tak!

Gdy jak o wielki palec dbasz u nogi,

Tam, gdzieś powinien jak o serce dbać,

Gwałt krzykniesz, cierpiąc ból w nagniotkach srogi,

I czuwać będziesz w nocy a nie spać!

Bo gdzież piękna kobieta dotąd była taka,

Coby nie wykrzywiła do lustra buziaka?...

(wchodzi Kent.)

LIR.

O nie! nie! będę wzorem wszelkiej cierpliwości!

Nic nie rzeknę już!...

KENT.

Kto tu?!

BŁAZEN.

Do usług waszmości

Jest tu głowa i ogon, lub co za toż stanie,

Mądry człowiek i błazen.

KENT.

Miłościwy Panie!

Tyżes tutaj!? o biada! nawet te stworzenia,

Co noc lubią, nie lubią takiej jak ta wcale!
W obec tych strasznych wichrów, co wrą w gniewu szale,
Wędrowniki ciemności pełne przerażenia,
Drżące w nory i dziupła kryją się głęboko!
O! od kiedym na świecie, jeszcze moje oko
Tak płomiennej błyskawic nie widziało łuny
I ucho nie słyszało tak wścieklej muzyki,
Jaką tu dzisiaj grają te straszne pioruny
I rycząca ulewa i wichru jęk dziki!...
O zaiste! znieść tyle ucisku i trwogi,
To nad siły człowiecze!

LIR.

Niechże wielkie Bogi
Co tam nad głową naszą władną gwałty temi
Wynajdą swe zuchwałe teraz przeciwniki!
Drżij nędzny, co zbrodniami brzemienny tajemni,
Przed chłosty sprawiedliwej wymykasz się biczem!
Uciekaj z krwawą ręką mężobójco dziki!
Drżij świętoszku! co kłamiąc cnotę swem obliczem
Z brudnej czary sprośności upijasz się skrycie!
I ty łotrze, co pozór przybrawszy uczciwy,
Zdradnie czyhasz na ludzką cześć, mienie i życie!
Najzręcniej przyczajeni winowajcy, drzyjcie!
Drzyjcie! kruszcie się! zrzucicie swe obłudne maski!
I na głos tych niebiańskich heroldów straszliwy,
Na twarz padłszy, wołajcie: łaski! łaski! łaski!

A ja... o! stokroć więcej przeciw mnie zgrzeszono,
A niżelim sam zgrzeszył!...

KENT.

Z głową obnażoną

Czyż można tak!... o mój ty Panie miłościwy!
Pójdź! w pobliżu jest chata, w niej ci człek życzliwy
Da przytułek od burzy.. Spocznij tu czas mały,
Ja powrócę do zamku, i w twardsze od skały
Co go dźwiga, w ich nędzne zakolące dusze,
(Choć przed chwilą, gdyś ciebie szukał Panie drogi,
Wstępu mi dać nie chcieli w swe przekłete progi).
A może ich do większej uprzejmości zmuszę!

LIR.

W głowie mi się przewraca!... Cóż chłopcze pocziwy?
Zimno ci? i mnie zimno! Gdzież bracie ta chata?
Musimy, gdy los takie dziś nam figle płała,
I tę budę za pałac uważać prawdziwy!
Pójdźcie, biedny mój błaznie i ty mój kochany,
Wierny sługo, coś w srogiej nie rzucił mię doli!
W sercu mem co się krwawi tak mnogiemi rany,
Jest jeszcze jakaś cząstka co i za was boli!

BŁAZEN.

W kim jest rozumu choć odrobina,
Ten, czy kłopoty, czy wichry, słoty,
Śmieje się sobie z złych losów psoty,
Bo wie, że słota to nie nowina!

LIR.

Prawda chłopcze!... no! pójdźmyż do tej chaty wreszcie!
(wychodzi Lir i Kent.)

BŁAZEN.

Wprzód wam powiem prorocstwo. Słuchajcie i wiercie
Gdy kaznodzieja w kazaniu zmieści
Więcej słów próżnych, niż zdrowej treści,
Gdy piwowary miarą uczciwą
Zechcą bez wody przedawać piwo;
Gdy eleganci wyjdą na wieki
Z pod swoich krawców czulej opieki;
Gdy według prawdy i według prawa
Sądzić się będzie wszelaka sprawa;
Gdy nie bezbożni już heretycy
Paleni będą, lecz zalotnicy;
Gdy giermki długi swoje popłacą
Wszyscy rycerze wraz się zbogacą;
Kiedy zjadliwy język dewotek
Zaniecha oszczerstw i wszelkich plotek;
Gdy rzezimieszki nie pójdą rade
Gdzie mogą znaleźć ludzi gromadę;
Gdy nierządnice, podłe rajfury,
Wznosić zamyślą kościelne mury: —
Na Albionie wówczas powstanie
Straszliwy ucisk i zamieszanie;
Kto dożyje obaczy oczyma własnymi
Że trzeba będzie chodzić nogami po ziemi. (wychodzi).

Scena 3.

Sala w zamku Glostera.

WCHODZI EDMUND I GLOSTER.

GLOSTER.



Ch Edmundzie, Edmundzie! to rzecz niesłychana!
Chciałem się ulitować doli swego Pana,
Prosiłem; ale oni, na głos mój nieczuli,
Mnie samego z praw wszelkich w mym domu wyzuli,
I niełaską swą wieczną grożą mi surowo,
Jeżeli kiedy o nim wspomnę im choć słowo,
Jeśli się do nich wstawiać za niego ośmielę,
Albo mu jakiegokolwiek pomocy udzieli!

EDMUND.

Okropne barbarzyństwo! haniebna szkarada!

GLOSTER.

Słuchajże, a mierz o tem. Pomiedzy książęty
Od dawna już się burzą jakieś kwaśne męty,
A w krótkce gorszych rzeczy wyglądać wypada.
Dziś w nocy przyszedł do mnie wieści wielkiej wagi!
(List w moim gabinecie w ukryciu zamknięty).
Wszystkie te, co król znosi krzywdy i zniewagi,
Rychło będą pomszczone! mściciele gotowi, —
My też winniśmy służyć naszemu królowi.
Chcę właśnie doń pospieszyć z pomocą tajemną;
Tymczasem pójdź i zajmij swą rozmowę księcia

By nie mógł zauważać mego przedsięwzięcia; —
A jeśliby przypadkiem zechciał mówić ze mną,
To mu powiedz, żem słaby, musiał zaledz łoże...
Niechaj w tej świętej sprawie i głowę położę,
(Jak mi już tem ich gniewne usta zagroziły)
Musi wszakże mieć pomoc król i pan mój miły!...
Dziwne rzeczy przed nami!.. Edmundzie! baczności! (wychodzi)

EDMUND.

O! przepraszam cię Panie! o tej uprzejmości
Księżę wnet będzie wiedział, niemniej jak o liście.
Za tę piękną przysługę musi oczywiście
Dostać się w moje ręce, co ojciec postrada, —
Wszystko!... młody powstaje gdy stary upada! (wychodzi).

Scena 4.

Chata w dzikim polu.

WCHODZI LIR, KENT i BŁAZEN.

KENT.

 Jest oto chata Panie! Racz wejść Panie miły!
Wytrwać w tak srogiej burzy to nad ludzkie siły!

LIR.

Porzućcie mię samego!

KENT.

Wejdz Panie do chaty!

LIR.

Chcesz by mi serce pękło?!

KENT.

O mój Panie drogi!

Wolałbym swoje własne rozszarpać na szmaty!...

Panie, dobry mój Panie! błagam, wejdź w te progi!

LIR.

I cóż w tem tak wielkiego widzisz, że te chmury

Niesforne tak się wzięły dziś do naszej skóry?

Chyba przez wzgląd na siebie?... bo ten, czyje ciało

Tknięte wielką niemocą, o mniejszą dba mało!

Jeślibyś, przed niedźwiedzia uchodząc pogonią

Nagle spotkał się z morza rozhukaną tonią,

Pewnie byś się zawrócił w paszczę napastnika.

Kiedy dusza swobodna, to się ciało pieści,

Lecz dziś w duszy mej burza szaleje tak dzika,

Że zmysły już niezdolne czuć innej boleści,

Prócz tej, co się tam miota... Twojej że paszczęce,

O ty, córek rodzonych niewdzięczności sroga,

Szarpać te, co ci pokarm podawały ręce!?

Ach skarcę was, skarcę! o klnę się na Boga!

Nie zapłacę już więcej!... Drzwi zamknąć przedemną!

W noc taką!.. Lej! lej! nie dbam!.. W noc tak straszną ciemną!..

Regano! Gonerylo! dzieci moje! dzieci!

Przed ojcem starym, dobrym, co wam z serca szczerze,

Wszystko, wszystko poświęcił!... Ha! zgroza mię bierze!..

O! na tej drodze w przepaść szaleństwa myśl leci!

Precz z niej! precz!... dość już o tem!

KENT.

Wejdz do chaty Panie!

LIR.

Idźcie sami, o własnej pomyślcie wygodzie,
A mnie ta wściekła burza za rozrywkę stanie
Śród troski, która stokroć srożej od niej bodzie!...
Albo... no! zgoda! pójdźmy do tej budy wreszcie...

(do Błazna.)

Nie, ty ruszaj po przedzie, bezdomne nieboże!
Wchodź że! wchodź!... Pomodłę się i spać się położę...

(Błazen wchodzi do chaty).

O wy, biedni nędzarze! ktokolwiek jesteście,
Którymi te straszliwe miotają orkany,
Wy bezdomni, zgłodniali co wam przez łachmany
Tysiącem szpar i okien nagie patrzy ciało,
Gdzież jest dla was przytułek, pośród burzy takiej?!
O! mało dotąd o tem myślałem, zbyt mało!...
Lecz się pycho! pójdź uczuj, co czują biedaki,
A choć okrucy zbytów swych im strząśniesz może
I mniej winy zaniesiesz przed oblicze Boże!

EDGAR (w chacie).

Półtora sążnia! biedny Tomek opętany!

BŁAZEN (wybiega z chaty).

Gwałtu! nie chodź tam! nie chodź stryjasku kochany!
Tam strach siedzi!... ratujcie!...

KENT.

Daj mi rękę bracie!

Któż tam jest?

BŁAZEN.

Strach! okropna potwora złośliwa!

Biedny Tomek ma imie, — sam się tak nazywał!

KENT (zaglądając we drzwi).

Hola! hej! ktoś ty taki, co tam mruczysz w chacie?!

Wyjdź no tutaj!

(Wychodzi Edgar przebrany za warjata).

EDGAR.

Uciekaj! precz! precz z mojej drogi!

Zły duch za mną!... Wiatr zimny dmie przez ostre głogi.

Pójdź do zimnej pościeli, ogrzej skrzepłe ciało...

LIR.

Czyś ty oddał dwóm córkom swym dziedzinę całą,

I zszedł aż na to?!

EDGAR.

Daj co biednemu Tomkowi,

Kterego zły duch trapi i wodzi przeklęty

Przez ognie i płomienie, brody i odmęty,

Bagna i trzęsawiska! co mu pod wężgłowie

Ostre noże, a stryczek kładzie na klęczniku,

Co mu codzień do strawy sypie arszeniku,

Co mu serce zuchwałą, dumną żądzą pali,

By w cwał pędził po mostach wązkich na pięć cali,

Na ognistym gniadoszu, w szalonej pogoni,
Jak za zdrajcą, za własnej swej postaci cieniem!
Niech Bóg od wszelkiej szkody pięć twych zmysłów chroni!...
Tomkowi bardzo zimno! Tomek w zęby dzwoni!...
Niech cię chroni przed wichrem, błyskawic płomieniem,
I zarazą!... O zlituj, zlituj się! daj wsparcie!
Daj Tomkowi, którego czart męczy zażarcie!
O! jest już! i tu, i tu, i tu!... precz szatanie!

LIR.

Córkiż to go w tym strasznym postawiły stanie?
Czyś ty wszystko im oddał? nic ci nie zostało?

BŁAZEN.

Nic stryjasku! zostawił o tę płachtę białą.
Bo inaczej sromotnie byłby całkiem nagi.

LIR.

O! niechże na twe córki runą wszystkie plagi,
Jakie w tym rozbijałym powietrznym przestworze,
Na głowę winowajców przeznaczone, trzyma
W zawieszeniu dłoń Boża.

KENT.

Człek ten córek nie ma.

LIR.

Zgiń zdrajco! jak to nie ma?! a któż inny może
Zgnębić ludzką naturę takim poniżeniem,
Jeżeli nie złe córki?!... Jestże przeznaczeniem

Aby każdy wygnany ojciec tak swe ciało
Niemiłosiernie trapił!?... O! słuszne karanie!
Bo to cielsko przeklęte, ono to wydało
Na świat takie krwiożercze córki pelikanie!

BŁAZEN.

Ani wątpić że z łaski tej szkaradnej nocy
Wszystkim się nam nareszcie poprzewraca w głowie!
Poszalejem!

EDGAR.

O! strzeż się złego ducha mocy!
Bądź posłuszny rodzicom, bądź rzetelny w słowie,
Nie kluj się, nie požądaj cudzej ślubnej żony,
Nie strój swej miłośnicy pysznym drogim strojem!...
Tomek zziąbł!

LIR.

Kim ty byłeś w przeszłym życiu swoim?

EDGAR.

Sługą. W głowę i w serce próżnością rażony
Stroiłem się, włos miękki zwiјаłem w pierścienie,
I chuciom swej kochanki służąc uniżenie,
Mroczne z nią popełniałem czyny. Moja mowa
Ile słów, tyle przekleństw rzuca Bogom w oczy,
Do wypitki jedyny, do jadła ochoczy,
Do kobiet — niech się Turek w kąć przedemną schowa!
W gnuśności wieprza, w zdradzie prześcignąłem lisa,
W żarłocztwie wilka, w drapieżtwie tygrysa...

O niechaj ci biednego serca nie przywabi
Tętet drobnych trzewiczków, ni szelest jedwabi
Niech po ścieszkach rozpasty nie chodzą twe nogi,
Ręka twa niech się tykać fartuszka nie waży,
Pióro twe niech nie pisze kwitków dla lichwiarzy,
A drwij ze złego ducha... Jeszcze mknie przez głogi
Wiatr zimny... świszczę, szumi, wiu, wiu! hopsa, hesa!..
Puszczaj go, puszczaj bratku! niech leci do biesa!

LIR.

Wolałbyś ukryć w grobie nagie twoje ciało,
Niż wystawiać je na tę burzę rozszalałą! —
Tem-że tylko jest człowiek? Przypatrzcie się jemu!
On nic zgoła nie dłużny stworzeniu żadnemu:
Ni owad go jedwabną przędzą nie okrywa,
Ni zwierz skórą, ni miękką swoją wełną owce
Ani mu swej wonności nie dały piżmowce.
Ha! w nas trzech forma tylko złudna a fałszywa,
W nim dopiero na czysto istota właściwa!
Niech się człek z pożyczanych przyborów rozbierze,
A będzie zeń widlaste, nędzne takie zwierze,
Jak on właśnie. Precz ze mnie zwodnicze łachmany!
Chodź, rozepnij!

(zrywając szaty z siebie.)

BŁAZEN.

Daj pokój stryjaszku kochany!

W taką cię noc szkaradną kąpać nie podobna.
Teraz ogień, w tem polu gorejący dzikiem,

Byłby, tak jak starego serce rozpustnika —
Na całe zimne ciało jedna iskra drobna...
Lecz patrzcie! błędny ognik tu ku nam pomyka!

EDGAR.

To zły duch, co się zowie u ludzi Chochlikiem.
W świat wybiega, jak tylko wieczór niebo zmroczy,
I aż do pierwszych kurów płata różne psoty:
Temu zez, temu bielmo narzuci na oczy,
Owego raptem kurzej nabawi ślepoty,
Lub mu wargi wyszczerbi, tak jak pysk zajęczy,
Lub zaświeci pszenicę, — i drażni i męczy
Na różny sposób biedne na ziemi istoty.

Świat obchodząc Witold święty,
Spotkał zmore ze zmorzety,
I wysadził wnet ją z siodła.
A kysz! a kysz więdmo podła.

KENT.

O! tej nocy snąć wszystkie w świat wyszły złe duchy!
(wchodzi Gloster z pochodnią.)

LIR.

Kto to taki?

KENT.

Kto jesteś? czego szukasz bracie?!

GLOSTER.

Kto jesteście wy sami? jak się nazywacie?

EDGAR.

Biedny Tomek, co jada jaszczurki, ropuhy,

Wodne żaby, kijanki; co w szaleństwie swoim
Gdy go czart rozwścieklony złapie i opęta,
Jak szpinakiem się karmi świeżym krowim gnojem,
Połyka stare szczury i zdechłe szczenięta,
I zieloną z kałuży zgniłej wodę pije;
Co go z gminy do gminy ganiają przez kije,
I w dyby zabijają i wiążą biedaka,
I różne nań sromotne wymyślają kary,
Co miał kiedyś sześć koszul i sukien trzy pary,
I miecz ostry u boku, i z rzędem rumaka.

Lecz siedem długich lat już upływa,

Jak myszy, szczury i tym podobną,

Zwierzynę drobną

Tomek spożywa.

Strzeżcie się złego ducha, co mi towarzyszy!
Ciszej mi bądź Smolkinie! ciszej czarcie! ciszej!

GLOSTER.

O Panie mój! wśród jakiejż widzę ciebie świty.

EDGAR.

Książę ciemności jest to szlachcic rodowity!
Modo — Mahu — to jego szlachetne imiona!

GLOSTER.

O Panie! krew krwi naszej tak srodze spodlona,
Że człeku o niej wspomnieć trudno bez odrazy!

EDGAR.

Tomkowi zimno!

GLOSTER.

Panie! racz się udać ze mną!
Znam ja swoją powinność! Córki twe daremno
Dziś mi najsurowszemi zleciły rozkazy,
Abym przed tobą zamknął drzwi swojego domu
I na pastwę cię rzucił tej okropnej nocy.
Odważyłem się wymknąć z zamku pokryjomu.,
By cię znaleźć i szczerzej udzielić pomocy.
Pójdź Panie! mam przytułek dla twojej drogiej głowy,
Gdzie posiłek i ogień czeka już gotowy.

LIR (do Edgara.)

Niechże z tym filozofem pogawędzę wprzód,
Powiedz mi zkąd się w chmurach grom ognisty bierze?

KENT.

Racz się Panie przychylić ku jego ofierze.
Przyjm gościnę a zażyj wczasu i wygody.

LIR.

Słoweczko tylko jeszcze z tym mędrcecm tebańskim.
Powiedz mi, co też umysł twój głęboki bada?

EDGAR.

Jak się bronić najlepiej napaściom szaleńskim
I jak tępić robactwo, które mię obsiada.

LIR.

Jeszcze ci pod sekretem dam jedno pytanie.

KENT (do Glostera.)

Wymagaj, niech koniecznie z tobą idzie, Panie!
W myślach jego już smutny obłęd się zaczyna.

GLOSTER.

Biedny starzec! mój Boże! czyż to jego wina?!
Córki śmierć mu chcą zadać! Ach! ten Kent pocziwy
On mówił, że tak będzie!... O biedny banita!...
Powiadasz, że się obłąd głowy króla chwyta?
A ja ci mówię, bracie: nie dziwy, nie dziwy!
Bom i sam blizki szału!... Ach! ja miałem syna,
(Krew się moja wypiera dziś go i przeklina)
Co też właśnie świeżutko, czyhał na me życie!..
O bracie! jam go kochał!... nigdy żadne dziecko
Ojcu swemu nie było drogiem w takiej mierze!..
I pod tym strasznym ciosem, powiadam ci szczerze,
I jam też stracił rozum!... Co za noc! o Bogi!..
Błagam daj się nakłonić, o mój Panie drogi!...

LIR.

Wybacz mi, proszę Panie!... Jeslić się podoba,
Czcigodny filozofie, pójdźmy razem oba!

EDGAR.

Tomek zziął.

GLOSTER.

Ruszał bracie, ot tam do tej chaty,
I przy piecu zakrzepłe ogrzej sobie gnaty.

LIR.

Chodźmy wszyscy.

GLOSTER.

No! za mną!

LIR.

I on z nami w drogę;
Bo ja z mym filozofem rozstać się nie mogę.

KENT.

Udobruchaj go, proszę; pozwól wziąć to lichy!

GLOSTER.

Weź go, Panie!

KENT.

Pójdź, z nami!... no! ruszaj nędzniku!

LIR.

Pójdź, proszę, mój pocciwy, mądry Ateńczyku!

GLOSTER.

Oto jest nasza droga! nuż spieszenie, a cicho!

EDGAR.

Rowland, dzielny wzór rycerzy
Do ponurej wkroczył wieży,
I znów krzyknął: fi! fe! fa!
Krew Bretona czuję tu!

(wychodzą.)

Scena 5.

(Sala w zamku Glostera.)

WCHODZĄ KS. KOROWALJI I EDMUND.

KS. KORNWALJI.

muszę go ukarać nim rzucę te mury!

EDMUND.

A ja, Panie, pomyśleć nie mogę bez trwogi,
Jaki na mnie spaść może za to wyrok srogi,
Żem przez prawość zapomniał o prawach natury.

KS. KORNWALJI.

Teraz dopiero pojąć mogę należycie,
Za co brat twój nastawał na ojcowskie życie.
Popchnęło go do zbrodni nie samo złe serce,
Nie! był tam i szlachetny gniew na przeniewiercę,
Z którego w nim się zamysł zrodził niegodziwy...

EDMUND.

O jakże los mój ze mną dziś igra złośliwy!
Toż mi swojej prawości żałować przychodzi!..
Oto ten list nieszczęsny! jasno on dowodzi,
Że ojciec mój dla Franka działał potajemnie!..
O Nieba! pocóż na świat przyszła taka zdrada!?
A gdy przyszła, to pocóż odkryta preze mnie?!...

KS. KORNWALJI.

Pójdź do księżnej.

EDMUND.

Gdy prawda co ten list powiada,
To na rękę dziś, Panie, masz sprawy nie lada!

KS. KORNWALJI.

Tak czy nie, on ci mienie przynosi i imie,
Mój ty Hrabio Glosterze! Tylkoż miej na oku
Swego ojca, by nie mógł ujść nam z pod wyroku.

EDMUND (n. s.)

Gdy go znajdę przy starym Królu na usługę
To w księciu tem silniejsze podejrzenie wzbudzę.
(głośno.)

Pójdę dalej po ciężkiej obowiązku drodze,
Choć walczyć przeciw własnej krwi, boli mię srodze!

KS. KORNWALJI.

Całe w tobie pokładam dzisiaj zaufanie,
A moja miłość pewno za ojcowską stanie.

Scena 6.

Pokój na folwarku w pobliżu zamku.

WCHODZI GLOSTER, LIR, KENT, BŁAZEN I EDGAR.

GLOSTER.



u lepiej niż pod gołym niebem w takiej porze.
Przyjmcie wdzięcznie; lja starań najczulszych dołożę,
Byście wszelką wygodę mieli w tem schronieniu.
Powrócę niezabawem.

KENT.

W tem ciężkiem strapieniu
Całkiem rozum postradał!... O niech Bóg w zapłacie
Za twą dobroć łask wszelkich skarby zleje na cię!

(Gloster wychodzi.)

EDGAR.

Frateretto mię woła i szepce do ucha,
Że Neron łapie rybę w jeziorze ciemności....
Módl się, módl niewiniątko! strzeż się złego ducha!

BŁAZEN.

Stryjaszku! czy warjaci są to chłopci prości,
Czy Pany?

LIR.

Króle! króle!

BŁAZEN.

Nie, stryjciu jedyny!
Chłopy, którym panami są ich własne syny,
Bo chłopem jest szalonym, kto na to pozwoli,
Aby przed nim syn w pańskiej występował roli.

LIR.

O niechaj kroćset czartów różny rozpalone!
Wrazi tu im syczące w ich serca spodlone!

EDGAR.

Djabeł mnie z tyłu kasa!

BŁAZEN.

Ma ten we łbie bzika,
Kto przysięgom hultajki, miłości młodzika,
Cnocie wilka, lub zdrowiu konia ufać może.

(LIR (do Edgara.)

Tak być musi! doraźny sąd tu na nie złożę....
Pójdź proszę, racz tu zasiąść prawniku uczony!

(do Błazna.)

I ty też mądry Panie, chciej usiąść z tej strony.
No! chodźcie, podłe kiszki! sędziowie zebrani!

EDGAR.

Patrzcie! patrzcie! możecie zobaczyć go z bliska, —
Stoi tam i oczyma iskrzącemi błyska!...

Czy tu przed sądem oczy potrzebne ci, Pani?

Płyn, o luba, płyn już do mnie!

Tak mię dręczyć, czyż się godzi!

BŁAZEN.

Luba oczki spuszcza skromnie,

Jakże płyną z dziurą w łodzi?!

EDGAR.

Zły duch drażni się z Tomkiem, wzięwszy głos słowiczy;
A Hopdans w brzuchu Tomka — „daj dwa śledzie!“ krzyczy,
Nie kracz, czarny aniele! nie ma dla ciebie jadła!

KENT.

Co ci, Panie!? dla czego twarz twoja tak zbladła?

Wyjdź z tego osłupienia! legnij na wężglowie,
Odpocznij!

LIR.

Nie! nie! patrzeć chcę na ich badanie...
Zaczynajcie! niech wnijdą przysięgli świadkowie!..

(do Edgara.)

Zajmij miejsce, dostojny Temidy kapłanie!

(do Błazna.)

I ty też usiądź przy nim na sędziowską ławę,

Przezacny towarzyszu jego! (do Kenta) I ty Panie!

Tyś także z Trybunału...

EDGAR.

No! sądzmyż tę sprawę!

Czy spisz czy czuwasz śliczna pastereczko,

Że twe owieczki weszły na me pole?

Za jedno z słodkich ustek twych słoweczko

Wszystkie swe zboże spaść tobie pozwolę.

LIR.

Ją najpierwej osądzicie! — Wystąp!.. to zuchwała

Goneryla... Przysięgam, sędziowie czcigodni,

Jako ona jest winna niesłychanej zbrodni; —

Króla, biednego ojca własnego, wygnała!

BŁAZEN.

Przystąp! Imie Waćpanny jestże Goneryla?

Odpowiadaj!

LIR.

Nie może utrzymywać, że nie.

BŁAZEN.

A jam wziął cię za stołek tylko!.. uniżenie

Przepraszam!...

LIR.

Oto druga. Wzrok jej co się wije

Jak gadzina, od razu jawnie opowiada,

Co się tam w jej nikczemnem sercu na dnie kryje,

Trzymajcie ją!.. hej! za nią z mieczem!.. ogniem!.. zdrada!

Zdrada! hańba!.. ha! podły ty sędzio fałszywy!

Na cóżes dał jej uciec?!

KENT.

Boże litościwy!

I gdzież jest ta cierpliwość? gdzież jest to wytrwanie,

Coś się niemi tak często chlubił, dobry Panie?!

EDGAR (n. s.)

Łzy me tak się o prawa domagają swoje,

Że już wątpię, czy dłużej w roli swej dostoję!

LIR.

Czy słyszycie, jak na mnie szczekają te psięta!?

EDGAR.

Tomek ciśnie w nich głowę! won psiarnio przekłeta!

Hej z mordą czarną, czy z mordą białą,

Z zębem, co gryząc, jad sączy w ciało,

Hej, wy brytany, pokurcze, charty!
Ogary, wyżły, kurty i muce!
Cały psi podły rodzie zażarty!
Won! bo jak na was głową swą rzucę,
To mi to, piszcząc i skomląc wnet,
Przez rowy, płoty drapniecnie het!

Trala, la, la, hopsa sa! dalej na odpusty,
Kiermasze i jarmarki! tutaj nic nie dają!
Tomkowi całkiem wysechł jego rożek pusty!

LIR.

To niechajże Regany ciało rozplatają!...
Obaczcie, co też tam się w jej piersiach wylega?
Jestże jaka w naturze tajemna potęga
Co tworzy takie twarde serca?! (do Edgara) Ciebie, Panie
Zatrzymam; będziesz jednym z mej setni,—czy zgoda?!—
Tylko mi się twych sukien nie podoba moda.
Powiesz mi, że to perskie na tobie ubranie;
Wszelakoż zmień je, proszę.

KENT.

Teraz pójdz do wczasu,
Dobry Panie! i pokrzep snem siły zwątłone.

LIR.

Dobrze! bądźcież mi cicho! nie róbcie hałasu!
Cicho... cicho!.. zapuście u łoża zasłone...
O tak... tak!... jutro rano jeść będziem wieczerzę...

BŁAZEN.

A Błazen o południu do snu się zabierze.

(powraca Gloster).

GLOSTER.

Pójdź no tu przyjacielu! gdzie król, pan mój miły?

KENT.

Tutaj, lecz zdrowe zmysły całkiem go rzuciły...

Nie kłóć jego spoczynku!

GLOSTER.

O! weź że go Panie,

W swą opiekę! bo straszną podsłuchałem znowe

Na drogie jego życie! Masz tutaj gotowe

Wygodne nosze, złóż go co najrychlej na nie

I do Duwru pospieszaj, gdzie miłej gościny

I opieki bądź pewnym. Zabieraj co żywo

Pana swego!... gdy stracisz choćby pół godziny,

To utracisz na straszną zgubę niewątpliwą

Z nim i siebie i wszystkich, co w tej trudnej chwili

Z przyjacielską pomocą dla was pospieszyli!

Zabieraj go! zabieraj i za mną! nie mogę

Spocząć, nim was w bezpieczną nie wywiodę drogę!

KENT.

Spią zmysły skołatane! Sen by taki pono

Był najlepszym lekarstwem na tę poranioną,

Biedną duszę dla której jeśli los nie zdarzy
Wygody i spokoju, nie ma już lekarzy!...

(do Błazna)

Chodźże! pomóż nieść Pana! ocknij się nareszcie,
A nie stój jak nieżywy!

GLOSTER.

Chodźmy! chodźmy! spiesznie!

(Kent, Błazen i Gloster wynoszą króla).

EDGAR.

Widząc, jak wyższych od nas los dotyka srogi,
Człek własnych swoich nieszczęść nie liczy za wrogi.
Kto sam cierpi jedynie, cierpi najdotkliwiej,
Kiedy wszyscy do koła swobodni, szczęśliwi;
Lecz dusza najstraszniejszy ból łatwo przeboli,
Kiedy widzi współników w ciężkiej swej niedoli.
Jak mi lekko z mym srogiem brzemieniem w tej chwili,
Gdy pod tem co mię zgina i król głowę chyli!
Bo czem dla mnie dziś ojciec, tem dla niego dzieci...
No! w drogę biedny Tomku! Czekaj dobrych wieści
I kryj się, nim ta potwarz która cię bezcześci
W całej się swej szkaradzie w końcu nie wyświeci,
Nim się ludzkie spaczono nie sprostuje zdanie
I zniewagi ci krwawej nie odpłaci chwałą.
Bądź co bądź tej się strasznej nocy jeszcze stanie,
Mniejsza! byle król biedny mógł się wymknąć cało!..
Baczność! baczność!

Scena 7.

Sala w zamku Glostera.

**WCHODZĄ KORNWAŁ, REGANA, GONERYŁA, EDMUND
I SŁUDZY.**

KS. KORNWAŁJI.



Spiesz do księcia małżonka swego Goneryło,
I pokaż mu to pismo, smutną wieść zawiera,
Z którą goniec zjajany wpadł właśnie przd chwilą,
Francuz już wylądował! bój rychło się stoczy!...
Hej! sprowadzić mi zaraz tu zdrajcę Glostera!

REGANA.

Powiesić go natychmiast!

GONERYŁA.

Wyłupić mu oczy

KS. KORNWAŁJI.

Nie! gniew mój sam dla niego chce znaleźć katusze...
Edmundzie! tobie z księżną udać się wypada;
Bo zemsta, jaką na twym ojcu wyrzecz muszę,
Widokiem swym zbyt ciężki cios synowi zada.
Oświadczyć tam księciu Panu, niech co żywo zbierze
Swe hufce, jak ja swoje a chyżo z wieściami
Niech się ciągle mieniają gońce między nami.

Bądź zdrowa siostro! Żegnam cię hrabio Glosterze!
(wchodzi Oswald).

Gdzie król?

OSWALD.

Umknął pod hrabi Glostera opieką.
Garstka jego rycerzy co ztąd niedaleko
Krażyła, wśród burzliwej szukając go nocą,
U wrót się z nim spotkała i nie złącząc z siodła,
Wnet go z ludźmi hrabiego do Duwru powiodła,
Gdzie, jak się chwala pewni są zbrojnej pomocy.

KS. KORNWALJI.

Konie dla księżnej! prędzej!...

GONERYLA.

Bądź zdrów drogi mój książę i ty siostro moja!
(wychodzi Goneryla i Edmund.)

KS. KORNWALJI.

Bywaj mi zdrów Edmundzie!... Hola! tejże chwili
Pojmać zdrajcę Glostera! związać go jak zbója
I stawić go przedemną! (śludzy wychodzą)

Lubo nie przystoi

Bez sądu śmierć mu zadać; lecz mam prawo przecie
Mam moc, aby dogodzić słusznej zemście swojej!
Niechaj mię gania potem; ale dziś nikt w świecie
Powściągać gniewu mego niech nie waży mi się!...
Kto tam? ha! to ty zdrajco! (wprowadzają Glostera).

REGANA.

To ty stary lisie!

KS. KORNWALJI.

Związać go! niech się powróz wgryzie aż do kości!

GLOSTER.

Na Boga! co czynicie Wasze Wysokości?!

(do sług)

Dobrzy ludzie! wyż przecie gośćmi w moim domu!

O! nie róbcie mi proszę tej krzywdy i sromu!

KS. KORNWALJI.

Wiążcie! wiążcie powiadam! (słudzy wiąza Glostera).

REGANA.

Daremne twe modły!

Wiążcie go! mocniej! a co? zdrajco podły!

GLOSTER.

Jam nie zdrajca, okrótna!

REGANA.

Hej! jeszcze powroza!

Przywiążcie go do krzesła za ręce i nogi!

Ja cię łotrze nauczę! (rzuca się nań i wyrывa mu brodę)

GLOSTER.

O Bogi! o Bogi!

Szarpać białą mą brodę!... o hańba! o zgroza!...

REGANA.

Biała broda a serce czarne!

GLOSTER.

O! te włosy

Ożyją i o pomstę jękną w niebogłoty
Na ciebie, ty nikczemna, której ręka krwawa
Bezbożnie gościnności gwałci święte prawa!...
Czego chcecie?!...

KS. KORNWALJI.

Mów zaraz co to za papiery
Z Francji odebrałeś?!

REGANA.

Przyznaj się bądź szczerzy!
Bo nam cała już prawda wiadoma dokładnie.

KS. KORNWALJI.

Jaki spisek uknułeś z łotrami, co zdradnie
Napadli na me kraje?

REGANA.

Gdzie jest król szalony?
Gdzieś go wysłał? gdzieś szukał dla niego obrony?
Mów!

GLOSTER.

List com go odebrał, nie w sobie nie mieści
Oprócz samych przypuszczeń i wątpliwych wieści
Pozbieranych bez celu, a człek co go krésli,
Waszym wrogom nie służy, wam szkodzić nie myśli.

KS. KORNWALJI.

Wybieg!

REGANA.

Falsz!

KS. KORNWALJI.

Mów! gdzieś podział szalonego dziada!

GLOSTER.

Król w Duwrze.

REGANA.

Czemu w Duwrze?! czyż ci nie kazano

Pod najśroźszem zaklęciem...

KS. KORNWALJI.

Pozwól że Regano! —

Dla czego w Duwrze? na to niech nam odpowiada.

GLOSTER.

Przykuty do pręgierza, jako zbrodniarz stoje, —

Muszę cierpieć!...

REGANA.

Dla czego w Duwrze?! —

GLOSTER.

Bo mi siły

Brakłoby patrzeć na to, gdyby szpony twoje

W te jego stare, biedne oczy się wraziły,

Albo, gdyby twa siostra, jak maciora podła,

Czeigodne jego ciało kły dzikiemi bodła!...

W oku strasznej tej burzy, co w ślepym swym szale,

Onej nocy piekielnej biła w jego głowę,
Morze, tknięte litością, w obłoki swe fale
Ciskało, by zagasić ognie piorunowe,
Kiedy biedny ten starzec, z bólu obłąkany,
Błagał Niebo o sroższe gromy i orkany,
Gdyby w czas ten okropny, pod wrotami twemi
Stado wilków zawyło, tobyś się nad niemi
Wzruszyć, ichbyś powinna przyjąć w swoje progi!
Najtwardsze serca zmiękły w pośród onej trwogi!...
A ty!... ale na własne jeszcze ujrzę oczy
Jak swe skrzydła ogniste nad wami roztoczy
Straszliwa pomsta Boża!

KS. KORNWALJI.

Nie ujrysz ty tego!

Nie ujrysz nig dy w życiu! (do sług) Trzymajcie, go chłopcy!
Oczy twe wnet rozgniotę tu pod swemi stopy!
(Słudzy trzymają Glostera na krześle, Kornwal wydziera mu
jedno oko i depce je nogą.)

GLOSTER.

O! kto myśli, że wieku dożyje późnego,
Ratuj mnie!.. a okrótny!.. o litośne Nieba!

REGANA.

Nie do twarzy mu z jednym — i to wyrwać trzeba!

KS. KORNWALJI (przystępując znowu do Glostera.)
Jeżeli ujrysz pomstę.....

SŁUGA.

Stój! wstrzymaj swą rękę!...

O Panie! jam od dziecka służył ci gorliwie,
Lecz nigdy nie zasłużył na większą podziękę,
Jak dziś, gdy się twym chęciom okrutnym sprzeciwię!

REGANA.

Co? psie ty!

SŁUGA.

Gdybyś miała włosy na swej brodzie
Tobym ci tu je wszystkie wyrwał w tej przygodzie!...
(do ks. Kornwalji.)

Co zamyślasz?

KS. KORNWALJI.

Ha łotrze!

(rzuca się z mieczem na sługę.)

SŁUGA.

Ba! niech i tak będzie!
Sam się wiń, jeśli padniesz w tym gniewnym zapędzie.
(Uderza na Kornwala z mieczem i po krótkiej walce rani go.)

REGANA (do innego sługi.)

Daj miecz!..chłop ten śmie rękę nań podnieść zuchwałą!..
(Wyrywa miecz, zachodzi z tyłu i przebija walczącego.)

SŁUGA.

Zginałem!... o mój Panie! jeszcze ci zostało
Jedno oko, co jego zagładę obaczy!...
(kona.)

KS. KORNWALJI.

Ja w tem że nie zobaczy!

(wydziera mu drugie oko i ciska na ziemię.)

Precz! w tej galarecie
Obmierzłej, świat już Boży nigdy nie zaświeci!

GLOSTER.

O Bogi! nie; prócz strasznych mroków i rozpaczy!...
Ach Edmundzie! gdzież jesteś?... O! zapal swą duszę
Wszystkiemi najstraszliwszej zemsty płomieniami,
By zbrodniarzom tym moje odpłacić katusze!

REGANA.

Precz zdrajco! niech cię marna otucha nie mami!
Bo ten, którego wzywasz, wzgardać odpowiada;
Bo przez niego nam jawną stała się twa zdrada,
Bo przy swojej prawości, znając twoje zbrodnie,
Nawet się i litować nad tobą nie może!

GLOSTER.

Biada mi!... więc mój Edgar spotwarzon niegodnie!...
O przebacz mi! o przebacz! przebacz, wielki Boże!
O! błogosław dziecięcia skrzywdzonego głowie!

REGANA.

Wypędzić go za wrota! Za pas, lotrze nogi!
Węchem teraz poszukaj swej do Duwru drogi!...

(do Kornwala.)

Cóż, Panie miłościwy? jakże twoje zdrowie?

KS. KORNWALJI.

Ciężką mię niegodziwiec poczęstował raną!..

Pójdźmy ztąd!.. Precz z tym ślepcem nikczemnym!.. Regano,

Zle ze mną! krew mi z piersi strumieniem się ciska!..
A tego psa podłego wywlec na gnoiska!..
Nie w porę mi ta rana!.. Wesprzyj mię ramieniem!
(Kornwał wychodzi prowadzony przez Reganę, słudzy odwiązują i wyprowadzają Glostera.)

1szy SŁUGA.

Wszelką zbrodnię popełnię z najłżejszem sumieniem
Jeśli człek ten szczęśliwie dojdzie życia mety!

2gi SŁUGA.

Jeśli ona dożyje późnej wieku pory
I skończy swoją śmiercią, to w dzikie potwory
Nam się wszystkie niechybnie obróca kobiety.

1szy SŁUGA.

Pójdźmy za starym Hrabia! Gdzieś z tąd niedaleko
Tuła się biedny Tomek. Niech z biednym kaleką
Złączy się i zastąpi swemi jego oczy.
Gdzie mu każe, powiedzie go wszędy ochoczy.
Biedak ten, mimo całe swoje obłąkanie,
Do wszystkiego z łatwością nagiąć się jest w stanie.

2gi SŁUGA.

Idź że, idź! Ja natychmiast pośpieszę ku tobie;
Pobiegę tylko białków, szarpji przysposobię
By przyłożyć na jego skrwawione powieki...
O! niechaj Bóg mu swojej udzieli opieki!
(rozchodzą się.)

Koniec aktu IIIgo.

A K T IV.

Scena I.

EDGAR.



Jak! wolę żyć w tej wzgardzie, widząc, żem wzgardzony,
Niż, gdybym był pochlebców rojem otoczony,
A wzgardę budził skrytą. Ten, oto przez los wrogi
Na spodlenie i nędzę ostatnią skazany,
Niżej spaść już nie mogąc, próżen wszelkiej trwogi,
Na przyszłość liczy śmiało, pewny, że ze zmiany
W najgorszem, chyba lepsze może wypaść jemu,
Gdy najlepsze się zmienia tylko ku gorszemu.
A więc witaj mi, witaj, nieujęta siło
Z którą się w ciężkim boju uporczywie łamię!
Nędzarz, którego twoje niewidome ramie
W ostatniej najgorszości przepaść potrafiło
Już nie dba o twą wściekłość!.... Ale któż to taki?

(wchodzi Gloster prowadzony przez starca.)

Ojciec mój! prowadzony jakby żebrak jaki!....

O świecie! świecie! świecie! gdyby zmienność rzeczy
Twych dziwna, nienawiści nie budziła w człoku,
Toby nie wart był życia ten nasz byt człowieczy!

STARZEC.

O Panie miłościwy! jam trzy ćwierci wieku
Był dzierżawcą u ciebie i rodzica twego.

GLOSTER.

Idź sobie, przyjacielu! porzuć mię samego!
Mnie twe służby pocziwe na nic się nie zdadzą,
A tobie jeszcze jakieś nieszczęście sprowadzą.

STARZEC.

Ach Panie! jakże znajdziesz z twą ślepotą drogę?!

GLOSTER.

Drogę?! żadnej przedemną dziś już drogi nie ma,
To też się i bez oczu dobrze obejść mogę,
Jam com upadł tak ciężko z zdrowemi oczyma!
Tak to nieraz się trafia. Zalety nam szkodzą
Kiedy wady prawdziwe na dobre wychodzą!..
O najmilszy Edgarze! o biedne me dziecko!
Na pastwę gniewu mego rzucony zdradziecko!
O gdybym dożył jeszcze tej chwili uroczej
Iżby cię me objęcia ujrzały, ty drogi!
Powiedziałbym, szczęśliwy, żem odzyskał oczy!

(STARZEC (spoglądając na Edgara.)

Cóż to jest? kto tam taki?!

EDGAR.

O Bogi! o Bogi!

Któż rzecz zdoła, złych losów pogiębiony siłą,
Dziś już zemną najgorzej!... Nigdy mi nie było
Gorzej, jak dziś....

STASZEC.

To biedny Tomek opętany

EDGAR.

A pono jeszcze gorszej doczekam odmiany.
Póki człek sam swą dolę najgorszą nazywa,
O nie! nie jest to jeszcze najgorszość prawdziwa!

STARZEC.

Dokądże to cię Bogi prowadzą, nieboże?

GLOSTER.

Czy to żebrak?

STARZEC.

I żebrak razem i szalony.

GLOSTER.

Ma choć trochę rozumu, kiedy żebrać może.
Przeszłej nocy, wśród strasznej dzikiej burzy onej
Szukając mego króla, jam się spotkał z takim
Patrząc nań, rzekłem sobie: człek nędznym robakiem!
Syn mój na myśl mi wtedy przyszedł mimo chęci,
A myśl moja naonczas nie była mu gwoli!
Odtąd wilem posłyszał i wiem, co się święci?

Czem muchy płoczej dziatwie, co psotnie swawoli,
Tem my Bogom — padamy, a im to zabawa!

EDGAR.

Cóż się stało?! o Boże! co za rola krwawa
Grać warjata przed taką niezmierną żałobą
I męczyć się by drugich tylko męczyć sobą!
Bóg z tobą miły Panie!

GLOSTER.

Czy to ów ubogi?

STARZEC.

Tak, Panie miłościwy.

GLOSTER.

No, to idźże sobie;

A jeżeli z miłości ku mojej osobie
Zechcesz milę lub ze dwie zrobić jeszcze drogi,
Dogoń mię na gościńcu, idąc ku Duwrowi
I przynieś jaką odzież temu biedakowi,
Co go prosić chce, aby raczył mię prowadzić.

STARZEC.

Panie! toż opętany!

GLOSTER.

Cóż na to poradzić,

Kiedy taka już wieku naszego choroba,
Że ślepych opętani wodzą..... Zróbże, bracie,
Jak cię proszę, lub raczej, jak ci się podoba,
Tylko idź już.

STARZEC.

Na usługi twe zaraz przyniosę ubranie,

Najlepsze, jakie znajdę w chacie

Gdy taka twoja wola, — niech się, co chce, stanie

(odchodzi.)

GLOSTER.

Hola! gdzieżeś biedaku?!

EDGAR.

Tomek zziąbł!.. (n. s.) nie mogę

Dłużej tak już wytrzymać! rzucają mię siły!..

GLOSTER.

Pójdźno tutaj!

EDGAR (n. s.)

A muszę! (gł.) O mój Panie miły!

Oczy twoje krwią płaczą!

GLOSTER.

Znasz do Duwru drogę?

EDGAR.

Znam Panie wszystkie drogi na twoje rozkazy:

Konno, pieszo, przez wrota, furtki i przełazy.

Tomkowi rozum z głowy uciekł wystraszony!....

O! niech Bóg dobrych ludzi od złych duchów chowa!

Biedny Tomek od pięciu naraz nawiedzony!

Siedzi w nim *Hoppipidaus*, ponury niemowa,

Obidikut rozpustnik, *Mahu* chytry złodziej,

Modo zbójca i *Chochlik* co psoci i zwodzi,

Przez którego bywają zwykle opętane
Figlarne pokojówki i garderobiane.
A zatem niech ci Pan Bóg Panie błogosławi.

GLOSTER (dając mu kieskę.)

Na, weź to! ty którego gniewnych niebios wola
Pod ciosy wszystkich swoich plag najsroższych stawia,
Niechaj szczęściem dla ciebie będzie ma niedola.
Bogi! rządźcie tak zawsze! niechaj zbytkownicy,
Przesyceni rozkoszą, co z waszych praw szydą,
Co że nigdy nie czuli nigdy nie nie widzą,
Niechaj rychło uczują moc waszej prawicy!
Niech się zbytek naprawi w lepszej działa mierze,
Niech każdy gwoli swoim potrzebom odbierze. —
Czy znasz Duwr?

EDGAR.

Znam go Panie!

GLOSTER.

Znasz? Jest tam opoka
Wyniosła, co pochyłem swem czołem z wysoka
Dziko patrzy w odmęty szalejące w dole.
Tam mię tylko zaprowadź na ów szczyt podniebny,
A ja mam coś tu jeszcze, co za to w nagrodę
Hojnie tobie opłaci twą ciężką niedolę.
Z tamtąd już mi przewodnik nie będzie potrzebny.

EDGAR.

Daj mi Panie swe ramie, a ja cię powiodę.

(wychodzą.)

S c e n a 2.

Przed pałacem Ks. Albańskiego.

WCHODZI GONERYLA I EDMUND.

Oswald ich spotyka.

GONERYLA (do Edmunda.)



itam ciebie milordzie, tu przed swemi progi!

Czemuż mię nie spotyka mój małżonek drogi?

(do Oswalda.)

Gdzie twój Pan?

OSWALD.

Jest u siebie, Pani miłościwa,

Ale jakże zmieniony! Kiedym mu zwiastował

Że Frank z wojskiem na nasze brzegi wylądował,

Śmiał się; kiedym mu doniósł, że księżna przybywa,

Rzekł: tem gorzej! Gdym mówił o Glostera zdradzie

I o szczytnym prawdziwej wierności przykładzie

Jego syna; on głupcem nazwał mię w tę porę

I rzekł gniewnie, że całkiem na wspak rzeczy biore!

Coby gniewać go miało, to najbardziej chwali,

Co cieszyć to go gniewa!

GONERYLA (do Edmunda.)

Nie pójdziesz więc dalej.

Ha! cielecy bo tego duch ślamazarnika

Na nie się nie odważy! On oczy zamyka

Na wszelkie swe zniewagi, by nie obstać za nie!...

Chęć nasza może rychło i skutkiem się stanie,
Mój Edmundzie. Tymczasem wracaj do Kornwala,
Zbierz co żywo i prowadź sam do boju mężę;

Twoja dzielność niech wojska odwagą zapala.

A ja tutaj się muszę mieniać na oręż
I zasadzić małżonka swego do kądzieli.....

Pośrednika w tym wiernym służbie będziem mieli;

A podobno, niebawem, jeśli duszą chlubną

Odważysz się po własne twoje sięgnąć dobro,

Posłyszycz z ust kochanki rozkaz... Noś to znamie;

(przypina mu kokardę.)

Nie nie mów! uchyl czoło (całuje go) O gdyby słowami

Mógł się ten pocałunek wypowiedzieć śmiało,

Moc olbrzymią by w ciebie jego płomie wlało!

Zrozumiej!.... żegnam ciebie! Spiesz gdzie chwała czeka

EDMUND.

Jam twój, Pani, na wieki! i w życiu i w grobie!

(wychodzi.)

GONERYLA.

O najdroższy mój Gloster! Jakże człek do człeka

Niepodobny! O! tobie winnam służyć tobie!

Wszystkiem, czem ci niewiasta służyć tylko może,

A nie temu głupcowi, co gwałci me łoże.

OSWALD.

Pani! Książę nadchodzi!

(wchodzi ks. Albański.)

GONERYLA.

Wartaż byłam przecie
By się trąby ozwały, gdy weszła w te wrota!

KS. ALBAŃSKI.

Gonerylo! tyś warta mniej niż podle śmiecie,
Którym wichur niesforny w oczy tobie miota,
Niepokoi mię srodze twe usposobienie!
Bo taki, co tem gardzi, zkaż wziął swe istnienie,
Pewno w niczem swych niecnym nie owdładnie chęci.
Gałęź, co się samochcąc odszczepiwszy, rzuci
Pień rodzimy, żywiący, zwiędnie nieodbicie,
Uśnie i śmierci tylko pójdzie na użycie.

GONERYLA.

Dość tego! już mię nudzą te głupie perory!

KS. ALBAŃSKI.

Mądrość, cnota, podłemu podłością się zdają,
A brudne dusze w brudach tylko podobają.
Cóżście uczyniły wy, srogie potwory
A nie córki?! powiedźcie! coście uczyniły?!
Ten ojciec taki dobry, starzec taki miły!...
Gdyby dzikie zwierzęta deptał stopy swemi,
Liżąc by je, z pokorą przypadły do ziemi!
A wy, wy!.. gdzież jest równie wyrodny a podły
Czyn w świecie? do szaleństwa wyście go przywiodły!...
Mógłże brat mój pocziwy wam pozwolić na to?

Jako człek? jako książę? on, co tak bogato
Dobrodziejstwy przez tego starca osypany?
O! gdy ujdą bezkarnie te zbrodnie, jeżeli
Bóg w widomej postaci nie zeszeł mścicieli;
To się, jak te potwory, co je oceany
Żywią w swej niezgłębionej, straszliwej otchłani,
Ludzie z ludźmi pożerać będą wyuzdani.

GONERYLA.

Tchórze! co do pogębków masz stworzone lica
I głowę do zniewagi! coć na oczach zbywa,
Zdolnych jasno rozpoznać, jaka jest różnica
Czei od hańby! co nie wiesz, że gdy sprawiedliwa
Kara sięga zbrodniarza, nim zbrodni domierzy,
Głupiec tylko litośne żale po nim szerzy!
Tchórze! dla czego nie grzmiały twe kotły bojowe?!
Wróg rozwinął już sztandar w spiącym Albionie,
W hełm stalowy okutą groźnie podniósł głowę,
Śmierć blizka; a ty stoisz, załamawszy dłonie,
Ty mazgaju cnotliwy wołasz: o Boże!
Jakże się on dopuścić takiej krzywdy może?!

KS. ALBAŃSKI.

Obacz się Furjo wściekła! ach! co za ohyda!
Czart się z toką mniej straszny, niż kobieta, wyda!

GONERYLA.

Głupcze!

KS. ALBAŃSKI.

O ty obłudna, istoto zwodnicza!

Wstydź że się! nie spotwarzaj tak swego oblicza!

Gdybym się nie szanował, gdyby mi przystało

Puścić ręce, gdzie krew je unosi burzliwa;

W proch by one tu starły twe kości i ciało!

Lecz cię postać niewieścia, djablico, zakrywa!

GONERYLA.

Nuże! pokaż swe meztwo!

(wchodzi goniec.)

KS. ALBAŃSKI.

Cóż? jakie tam wieści?

GONIEC.

O mój Panie najmilszy, jam zwiastun boleści!

Książę brat wasz nie żyje, raniony głęboko

Mieczem własnego sługi, gdy chciał drugie oko

Wyłupić Glosterowi!

KS. ALBAŃSKI.

Oko Glosterowi!?

GONIEC.

Sługa co w jego zamku cały wiek swój przeżył,

Ze zgrozą okropnemu oparł się czynowi,

I mieczem o miecz z własnym swym Panem uderzył;

Książę wpadł nań piorunem w ślepym gniewu szale,
I u nóg go swych trupem wnet położył, ale
Nie mógł wszakże od ciężkiej rany ustrzedz siebie,
Która nam go wydarła!

KS. ALBAŃSKI.

Jest więc jeszcze w niebie
Sprawiedliwość, co rychło sięga gromy swemi
Najzuchwalszych zbrodniarzy na tej jeszcze ziemi!
Biedny Gloster! i drugie oko mu wydarło?

GONIEC.

Oboje, miły Panie! oboje! (podaje list Goneryli) Z tą kartą
Od twojej siostry, Panie, wysłany dziś rano,
Biegłem, co koń wyskoczy; spieszyć mi kazano
Z odpowiedzią twą; księżna tam liczy godziny.

GONERYLA (n. s.)

W pewnym względzie przyjemne to dla mnie nowiny;
Lecz siostra moja wdową, i mój Gloster u niej!
Czyliż gmach ten, com siłą swej fantazji wzniosła,
Przez nią w gruzy zwalony na mą głowę runie?!
Bądź co bądź, zawszem jednak rada z tego posła.

(głośno)

Wnet przeczytam i dam ci odpowiedź żadaną.

(wychodzi.)

KS. ALBAŃSKI.

Gdzież był syn, kiedy oczy jemu wydzierano?

GONIEC.

Do zamku tego księżnej towarzyszył w drodze.

KS. ALBAŃSKI.

Tu go nie ma.

GONIEC.

Tak, Panie! odjechał z powrotem;
Spotkałem go przed chwilą.

KS. ALBAŃSKI.

Czyliż wie, jak srodze
Ojciec jego skrzywdzony?

GONIEC.

Wie on dobrze o tem!
Sam go udał przed księciem i uciekł niegodnie,
By mu tam bez przeszkody, za mniemane zbrodnie,
Te nieludzkie, straszliwe zadano katusze!

KS. ALBAŃSKI.

O Glosterze! Glosterze! klnę się na mą duszę,
Że twą miłość dla króla, odwdzięczę jak warto,
I pomszczę biedne oczy, które ci wydarto!
Pójdź zemną, przyjacielu! Co się więcej stało,
O wszystkim chcę od ciebie słyszeć prawdę całą.

S c e n a 3.

Obóz francuzki pod Duwrem.

WCHODZI KENT I RYCERZ.

KENT.



zemuż to król francuzki, czy nie wiesz przyczyny,
Tak nagle z tąd do swojej powrócił krainy?

RYCERZ.

Zostawił nieskończone ważne jakieś sprawy,
O których, tu przybywszy, kiedy wspomniał, nagle,
Pełen o dobro kraju troski i obawy,
Z powrotem do ojczyzny wnet rozwinął żagle,
Bo sam tylko zaradzić może tej potrzebie.

KENT.

I kogoż tu nad wojskiem postawił za siebie?

RYCERZ.

Marszałka De la Fort'a

KENT.

Jakże listy owe?

Czy bardzo swoją treścią wzruszyły królowę?

RYCERZ.

Tak Panie! Z rąk je moich wzięła i czytała
Sama w mej obecności, a raz wraz obfita,
Łza cicha po uroczych jej licach spadała;

I była snadź w jej duszy sroga walka skryta,
W której jako królowa owdadła tym bólem,
Co jak hardy buntownik nad nią chciał być królem.

KENT.

A więc była wzruszona?

RYCERZ.

Tak, lecz choć głębokiem,
Pełnem jednak spokoju było jej wzruszenie.
Rzekłbyś, że z rezygnacją walczyło cierpienie,
Kto ją wyższym, cudniejszym ozdobi urokiem?
Widziałeś jakim wdziękiem jaśnieją niebiosą
Gdy wraz słońce się iskrzy i deszczu mży rosa?
Ona była od niebios tych piękniejszą jeszcze,
Zdobna w blaski uśmiechu i łez swoich deszcze!
A uśmiechy te błogie, tak wdzięcznie pieściwie
Igrały na jej ustach, kraśnych jak korale,
Jak gdyby o tych gościach nie wiedziały wcale,
Co się z serca do oczu cisnąć natarczywie,
Z nich na lica jej biegły i spadały, lśniące,
Bujne, krągłe jak perły z brylantów kapiące.
Gdyby wszyscy w żalości mogli być takimi,
Nieby nad nią milszego nie było na ziemi!

KENT.

Nie rzekłaż ani słowa?

RYCERZ.

Prawda, w swej boleści,
Jakby z piersi zgniecionych niezmiernem brzemieniem,

Parękroć imię ojca jękla z wysileniem.

„Siostry! siostry! — wołała, — hańbo płci niewieściej!...

Kent! ojciec! w taką burzę!... w nocy!... siostry moje!...

Gdzież się litość podziąła?!“ A w tem święte zdroje

Wytrysłe z jej niebiańskich oczu, zatopily

Jęk bólu, z którym walczyć nie mając już siły,

Powstała, i snąć ukryć chcąc swój żal głęboki

Spiesznemi do komnaty swej odeszła kroki.

KENT.

Tak, tak! gwiazdy to gwiazdy, co tam świecą w górze,

Dyktują swoje prawa człowieczej naturze;

Bo jak pojąć inaczej tę dziwną różnicę

W dzieciach, co je ciż sami spłodzili rodzice?..

Nic że z tobą już więcej nie mówiła potem?

RYCERZ.

Nic Panie!

KENT.

Czy to było przed króla powrotem?

RYCERZ.

Po odjeździe już.

KENT.

Dobrze. Lir nasz nieszczęśliwy,

Jest tu. Nieraz się trafi, że w jaśniejszej chwili

Przypomni sobie, w jakim celuśmy przybyli,

Lecz za nic nie chce widzieć swojej córki.

RYCERZ.

O dziwy!

Cóż to jest?

KENT.

Wstyd okropny stoi mu na drodze.
Gdy wspomni jak ją z domu swego wygnał srodze
W kraj obcy, na przygody i niebezpieczeństwa;
To mu serce najsroźszym jadem się napawa!
Srom go takim przenika uczuciem boleści,
Że nawet na Kordelję spojrzeć nie ma siły!

RYCERZ.

Biedny Pan!

KENT.

O książętach maszże jakie wieści?

RYCERZ.

Tak jest, zbrojne ich szyki w pole wystąpiły.

KENT.

Niechże cię zaprowadzę do naszego Pana
I na służbie przy jego osobie umieszczę.
Ważne bardzo powody zmuszają mię jeszcze
Zachować *incognito*; lecz gdy pożądana
Chwila przyjdzie i zrzucę maskę, którą noszę,
Bądź pewnym, że się gniewać nie będziesz na siebie,
Za pomoc, coś mi podał w tej smutnej potrzebie;
Hojnie ci się odwdzięczę! Pójdźże ze mną proszę. (wychodzą).

Scena 4.

(W temże miejscu namiot.)

WCHODZI KORDELJA, LEKARZ, ŻOŁNIERZE.



KORDELJA.

Fiestety! on to właśnie! on sam! Chwila temu
Widziano go; podobny morzu burzliwemu
W szale swym, wyśpiewuje wesołemi tony,
A na skroniach ma wieniec z zielska upleciony
Z ostu, częku, piołunu, kąkolu, pokrzywy
I różnych dzikich chwastów, jakie nasze niwy
Między zbożem wydają. Niech natychmiast skoczy
Sotnia naszych żołnierzy, niech każdy móg ziemi
Przeżył pilnie pomiędzy łąny zbożowemi,
Niech go znajdzie i stawi wnet przed moje oczy.

(Oficer wychodzi).

A jeśli ludzka mądrość ma sposoby na to,
By mu zmysły stracone przywrócić na nowo,
Takiemu, co go zleczy — Bóg słyszy me słowo,
Wszystko, co dziś posiadam, niech będzie zapłatą!

LEKARZ.

Tak, są na to sposoby, Pani miłościwa!
Najlepszym dobroczyńcą w takich razach bywa
Sen cichy, i takiego właśnie mu potrzeba.
Owoż, by go sprowadzić, mamy z łaski nieba

Pod ręką bardzo proste a skuteczne leki,
Których moc najsmutniejsze zamyka powieki.

KORDELJA.

O niechajże pod łzami wystąpią mojemu
Wszystkie, dotąd ukryte, zbawcze siły ziemi,
Wszystkie jej tajemnice! niechaj mi pomogą
Uratować tę biedną duszę, tak mi drogą!
Szukajcie go! szukajcie! boję się, by w szale
Tym gwałtownym, nie zdolny sobą władać wcale,
Życia swego na zgubę nie naraził!

(wchodzi goniec).

GONIEC.

Pani!

Ważne wieści! Brytańskie już tu ciągną siły!

KORDELJA.

Wiem o tem. Na spotkanie ich przygotowani,
Czekamy ich przybycia. O mój ojcie miły!
Tyś to celem jedynym mego przedsięwzięcia!
Szlachetny król francuzki, przez moje zaklęcia,
Przez boleść i łzy moje czule poruszony,
Dał się wreszcie nakłonić do twojej obrony.
Nie pycha, nie wojennych łupów żądza krwawa,
Tylko miłość nas wiedzie na te srogie boje,
Miłość tylko i ojca skrzywdzonego prawo!...
Gdybyż prędzej go mogły ujrzeć oczy moje!...

Scena 5.

Sala w zamku Glostera.

WCHODZI REGANA I OSWALD.



REGANA.

Czy wojska mego brata już ruszyły w pole?

OSWALD.

Tak Pani.

REGANA.

Czy on z niemi?

OSWALD.

Z niezmiernym kłopotem

Przyszło skłonić ku temu wstrętą jego wolę.

Z księżnej lepszy jest żołnierz.

REGANA.

Czy też za powrotem

Hrabia Edmund się widział z księciem twoim Panem?

OSWALD.

Nie Pani.

REGANA.

Cóż jest w piśmie do niego wysłanem

Od mej siostry?

OSWALD.

Nic nie wiem, miłościwa Księżno!

REGANA.

Ruszył on ztąd, wiedziony pobudką potężną...
Zbłądziliśmy niezmiernie, że oczu zbawiwszy,
Tego starca, i życia nie wzięli mu razem!
Dziś, gdzie zwróci się, wszędy swej nędzy obrazem
Przeciw nam okrzyk pomsty wnet budzi najżywszy!
Edmund zatem, synowskiem współczuciem wiedziony,
Dla tej jego niedoli, spieszy doń z pomocą
Ku wyjściu z tego świata, co ponurą nocą
Dlań się okrył na zawsze; a z drugiej też strony
I siły naszych wrogów chce poznać dokładnie.

OSWALD.

Więc mi za nim z tem pismem biedz w pogoń wypadnie.

REGANA.

Wojska nasze wystąpią też jutro o świcie;
Zostań z nami, inaczej możesz swoje życie
W tej podróży narazić.

OSWALD.

O gdybym i głową
To zapłacił, nie mogę zwlekać ani mgnienia,
Bo pośpiech zaleciła mi Księżna surowo.

REGANA.

Po co pisze do niego? czyżbyś jej zlecenia
Nie mógł ustnie mu oddać? Coś się tutaj święci...
Nie wiem co, ale... słuchaj! daj mi z pod pieczęci
Wyrwać tę tajemnicę, a ujrzysz, co znaczy,
Łaskę moją pozyskać!

OSWALD.

Pani! ja bym raczej...

REGANA.

Wiem, że Pani twa męża nienawidzi szczerze;
To pewna; a widziałam jak spojrzeniem wabi,
Jak się wdzięcznie przymila do młodego hrabi
Ty zaś jej powiernikiem serdecznym w tej mierze.

OSWALD.

Ja Pani?!

REGANA.

Wiem co mówię! ty! zaręczyć mogę!
Wszelakoż przyjm odemnie zbawienną przestrogę:
Mój małżonek nie żyje, hrabia Edmund ze mną
Już związany niejako umową tajemną,
Bo też więcej on dla mnie niż dla niej przystoi;
Reszty sam się domyślisz... Owoż, jeśli, w drodze
Spotkasz go, to mu oddaj; a zaś Pani swojej
Poradź niechaj zapędom swym powściągnie wodze.
Bądź zdrow! a gdy przypadkiem wpadnie ci pod rękę
Ślepy zdrajca ów stary, pomnij, że kto mękę
Jego skróci, największą mieć będzie nagrodę.

OSWALD.

O! jeżeli mi szczęście w tym względzie posłuży,
Co daj Boże, to czynem natychmiast dowiodę,
Za kim ciągnę.

REGANA.

Szczęśliwej życzę ci podróży. (wychodzą).

Scena 6.

W okolicach Duwru.

WCHODZI GLOSTER I EDGAR W STROJU WIEŚNIACZYM.

GLOSTER.



Rychłóż wreszcie na szczycie owej skały stanę?

EDGAR.

Wstępujemy nań właśnie... Cóż to za trud srogi!

GLOSTER.

Przecież grunt całkiem równy czują moje nogi

EDGAR.

O nie!... słyszysz, jak ryczy morze rozhukane?

GLOSTER.

Nie nie słyszę!

EDGAR.

To dziwy!... czyż razem z oczyma

I innych twoich zmysłów też niemoc się ima?

GLOSTER.

Zaiste, to być może!... Owo mi się roi,

Że się głos twój odmienił, i że w mowie twojej

Więcej ładu i składu niżli dotąd było.

EDGAR.

Mylisz się; nic się we mnie wcale nie zmieniło,

Odzież tylko.

GLOSTER.

Lecz mówisz dosyć przyzwoicie.

EDGAR.

Dalej! dalej milordzie!... Owośmy na szczycie!
Stójże! cicho!... Strach bierze i w głowie się mroczy
Gdy w tę przepaść niezmierną człek zanurzy oczy!
Wrony i kawki, co tam w pośród niej bujają,
Zaledwie się tak wielkie jako chrząszcze zdają,
Na wpół drogi człek jakiś co się czepia skały
I zbiera morski koper — (okropne rzemiosło! —)
Wygląda ztąd, jak własna jego głowa, mały;
Rybak, co w tej zatoce płucze swoje wiosło,
Rzekłbyś swoją postacią myszy nie przechodzi;
Wielki okręt, co ówdzie stoi na kotwicy
Maleje do rozmiarów swojej wielkiej łodzi;
A łódź ledwie widzialna dla ludzkiej żrenicy,
Niby pławek kotwiczny; fala szalejąca,
Co się z hukiem na zwirach nabrzeżnych roztrąca,
Swym łoskotem wyżyny tej nie sięga wcale...
Nie chcę dłużej już patrzeć! w głowie mi się kręci
W oczach ćmi... chwilę dłużej tak, a bez pamięci
W niezmierzoną tę przepaść piorunem się zwale!

GLOSTER.

Postaw mnie na twem miejscu.

EDGAR.

Daj mi rękę Panie!

Oto stoisz na samej już krawędzi skały....
Wszystkie by tego świata skarby nie zdołały
Sklonić mię bym się spuścił w te straszne otchłanie!

GLOSTER.

Puść mą rękę. (daje mu drugą kieskę).

Masz, weź to, jest tam klejnot drogi

Którym by nie powinien gardzić człek ubogi.

Niechaj ci z nim Bogowie zeszlą szczęsne losy!...

A teraz mię pożegnaj, i niechaj odgłosy

Unoszących cię kroków posłyszają me uszy.

EDGAR.

Bądźże zdrów dobry Panie! (udaje tętę oddalających się kroków.)

GLOSTER.

Dzięki z całej duszy!

EDGAR (n. s).

Jeśli z jego rozpaczą igram tak zuchwale,
To tylko w błogiej myśli, że go tem ocalę.

GLOSTER.

O Bogi! owo rzucam świat ten oplakany,
I przed waszem obliczem śmiem stargać kajdany
Wielkich moich boleści! O gdyby mi siła!
O gdybym mógł je dłużej dźwigać na tej ziemi,
Nie wchodząc w bój zuchwały z wyroki waszemi;
Sama by się do kropli ostatniej spaliła
Lampa mego żywota!... Jeśli Edgar żyje,

O niech go święta wasza opieka okryje!...
Bądź mi zdrów przyjacielu!

EDGAR.

Jużem odszedł, Panie!

Żegnam cię!

GLOSTER (mniemając że się rzuca ze skały, pada na twarz).

EDGAR (n. s.)

O mój Boże! któż zareczyć w stanie,
Że nie zdolną jest sama wyobraźnia nasza
Zabić życia co gwałtem śmierci się naprasza?!
Co, jeżeli naprawdę, starzec nieszczęśliwy
Jest już tam, gdzie być myślał, przez to tylko samo,
Iż myślał, że już stanął przed wieczności bramą!?...
(głośno)

Hej! Panie! przyjacielu! żywyś, czy nieżywy?!
Czy słyszysz, Panie! Panie! odezwij się przecie!...
Czyż istotnie duch jego jest już w lepszym świecie?!...
Ha! daje znaki życia!... Kto ty jesteś, Panie?!

GLOSTER.

Okrutny! pocóż moje zakłócasz konanie?!
Precz odemnie!

EDGAR.

Człowieku! czyś ty z pajęczyny,
Czy z puchu, czy z powietrza? żeś z takiej wyżyny
Niezmierzonej szalonym rozpędem się cisnął,

I jak jajko, na milion cząstek nie rozprysnął?!
Toć to gdybyś końcami dziesięć masztów sprzegnął,
Jeszcze byś z tąd wierzchołka tej skały nie sięgnął,
Z którejś na łeb tu zleciał! Żeś żywy i cały
To cud!... Przemów no jeszcze.

GLOSTER.

Czyliżem w istocie
Spadł? czy nie spadł?

EDGAR.

Ze szczytu tej urwistej skały!
Spojrznno w górę! skowronek, gdyby w chyżym locie
Z wdzięcznym swoim szczebiotem wzniósł się tak wysoko,
Już by go nie dosięgło ni ucho ni oko!
Spojrz no tylko!

GLOSTER.

Niestety, jam ślepy! o Boże!
Czyż nieszczęście tej nawet łaski mieć nie może,
By w śmierci kres swój znaleźć? Jednej tylkom sobie
Pociechy w nędzy pragnął — i tę mi wydarto, —
Abym swego tyrana zawiódł złość zażartą
I naśmiać się mógł z dumnej jego żądz — w grobie!

EDGAR.

Daj mi rękę! wstań!... dobrze! cóż? jak nogi twoje?
Stoisz przecie?

GLOSTER.

Ha! stoję! nazbyt dobrze stoję!

EDGAR.

A! to jest cud nad cudy! dziw nad wszystkie dziwy!
Ale kto tam był z tobą na szczycie urwiska,
Co się potem oddalił?

GLOSTER.

Żebrak nieszczęśliwy.

EDGAR.

A mi się z tąd zdawało, że jego oczyska
Swiecą, jak dwa księżyce, że nosów tysiące
Sterczą na jego twarzy, a straszliwe rogi
Wiją się, jako morskie wały szalejące....
Był to zły duch niechybnie!... Uznaj więc, że Bogi,
Co ludzkich niepodobieństw nie znają na niebie,
Cudownie dzisiaj, ojcze, ocaliły ciebie.

GLOSTER.

O! wyznaje to teraz, i nędzy żywota
Srogie brzemie cierpliwie odtąd będę nosić,
Aż z góry zawołają na mnie: dosyć! dosyć!
Umrzyj; już! — Ta, o której powiadasz, istota,
Jam myślał, że to jakiś biedak opętany....
Często w mowie bezładnej wspominał szatany;
On to mię zaprowadził na szczyt owej skały.....

EDGAR.

Obyż ci nieba spokój i wytrwałość dały!...
Lecz któż to?

(Wchodzi Lir fantastycznie ubrany w kwiaty)

Co za cudak! pono rozum zdrowy
Nigdy tak nie przystoi tej, gdzie mieszka, głowy

LIR.

Co? mnieby karać mieli za bicie monety?
Kto śmie?! kto! jaże jestem tu sam król!

EDGAR.

Niestety!

Co za widok boleśny!

LIR.

Natura w tym względzie
Wyższości w obec sztuki nigdy nie zdobędzie....
Masz na piwo!.... Ciemiega ten na wszystkie strony
Kręci się z swoim łukiem, jakby strach na wrony!...
Dajcie łokcia!.. Ha! patrzcie! mysz! mysz! ciszej!
Włóżcie no kasek séra w połapkę na myszy!.....
Oto ciskam wam tutaj rękawicę swoją;
Niech ją olbrzym podniesie, a planu dostoję!....
Przynieście tu toporki!... brawo moje dziecie!
Oto mi rzut, w sam środek celu! wysmienicie!...
Stój! hasło!?

EDGAR.

Słodki majran!

LIR.

Idź! Ha! Goneryla!

Z białą brodą!.... i ta się, i owa przymila,
Łaszą się jak psy do mnie! prawią mi bywało,

Że mi broda od razu zarosła tak biało,
Czarną nigdy nie będąc. Na każde me słowo,
Tak i nie odpowiedzią była ich gotowąż;
Tak i nie razem, ejże, źle podobno wróży!
Jakoż, kiedym raz przemokł wśród ulewnej burzy,
Kiedy na chłodnym wichrze szczękały mi zęby;
A gromy, pod którymi drżały świata zręby,
Nie chciały się uciszyć na moje wołanie,
Wtędym poznał, o ile można liczyć na nie!
Gdzie tam! w słowach ich prawdy ani odrobiny!
One mi powiadały, żem ja jest jedyny
Drogi, miły, żem wszystkim na świecie.
Bajki! bajki wierutne! Nie jestem że przecie
Niedostępny gorącze!

GLOSTER.

Ha! dźwięki tej mowy
Znane mi!... czy nie król to?

LIR.

Król, od stóp do głowy!
Niechaj tylko brwi zmarszcze, patrz, jak drżą poddani!..
Temu daruję życie.... Jaka jego winą?
Cudzołóstwo! Czy tylko? o! nie umrzesz za nie!
Umrzeć za cudzołóstwo! nie! nie! wszak ptaszyna
Nie jedna za niem goni, i nikt jej nie gani,
I muszek złotoskrzydłych rozigrane roje
Ścigają się miłośnie w mojej obecności.

Wszak nieprawy Glostera syn więcej miłości
Ojcu swemu dowodzi, niż mnie córki moje,
Wyrodne, choć się w prawej zrodziły łożnicy.
Dalej więc do rokoszy! wszyscy bez różnicy!
Mnie żołnierzy potrzeba!... Patrzcie no na ową
Skromną panię, co śnieżne lica kryje w dłonie,
I sznuruje swą buzię, i rumieńcem płonie,
I wzdryga się ze zgrozą na rokoszy słowo;
A przecież ni kot sprośny, ni zrzebiec wśród stada
Tak namiętnie, jak ona, za nią nie przepada.
Wszystkie one prawdziwych to Centaurów rasa:
Do pół ciała niewiasty, od głowy do pasa,
Rzekłbyś, bóstwu podobne; a dalej, a dalej
Djabelstwo, piekło, przepaść, co się siarką pali,
Parzy! bród, gnój, ohyda! fe! fe! tfu!... mój miły
Aptekarzu! daj piżma! — otoc płacę za nie;
Muszę stłumić te wonie, co mi zaraziły
Całą mą wyobraźnię!

GLOSTER.

O mój drogi Panie!
Pozwól mi ucałować swe czcigodne dłonie!

LIR.

Czekaj, niech je obetrę, śmiercią od nich zionie!

GLOSTER.

O żałośna ruino! tak ten świat ogromny
Zejdzie na nic!.. Czy znasz mię?..

LIR.

Dosyć dobrze pomnę
Twe oczy... Cóż tak razem wpatrujesz się we mnie?
Nie sil się, mój ty stary Amorku daremnie!
Już się ja nie zakocham! — Czytaj to wezwanie
A bacz jakie to pismo.

GLOSTER.

Ach! gdyby w tym liście
Wszystkie głoski, jak słońca pałyły ogniście,
Jeszczeby ani jednej ujrzeć nie był wstanie.

EDGAR.

Gdyby mi kto powiadał, nie wierzyłbym wieści!
Sam widzę! sam! i serce pęka mi z boleści.

LIR.

Czytaj!

GLOSTER.

Jak? czy przez próżne oczu futerały?

LIR.

Oho! toś ty mi taki!... A to hołysz cały!
W głowie oczu, w kieszeni ani grosza nie ma!
Lekko więc ci z kieszenią a ciężko z oczyma.
Ale czy widzisz przecie jak ten świat się toczy?

GLOSTER.

Widzę.... czuciem.

LIR.

Czyś warjat? człek, choć straci oczy,

Może widzieć, po jakiej świąt ten idzie drodze.
Patrz oczyma! Czy widzisz, ten sędzia, jak srodze
Gromi tego złodzieja? Pomyśl, że w tej chwili
Wraz obadwa nieznacznie miejsca przemienili —
Stuknij w palce: gdzie sędzia, a gdzie jest złoczyńca?
Czyś widział jak pies kmiecy rzuca się na dziada?

GLOSTER.

Widziałem.

LIR.

I jak biedak ten zmyka z dziedzica?

Masz w tem obraz wspaniały władzy. Pies tu włada
Z urzędu. Podły zbirze! wstrzymaj rękę krwawą!
Nie chłoszcz tej nierządnicy! stój! jakie masz prawo?
Ty, co ku niej sam pałasz żądzą winy takiej,
Za jaką dziś ją smagasz. Lichwiarz, łotr uznany
Pod stryczek wlecze drobne oszusty biedaki!
Najmniejsze winy widać przez brudne łachmany,
A purpura i sobol największe pokrywa.
Nie ma lepszej nad złotą dla zbrodniarza zbroi,
Na niej sprawiedliwości pęka włócznia mściwa;
A niechajże go łachman dziurawy przystroi,
To pigmej lichą słomką na wskrós go przebodzie.
Nie ma więc, nie ma winnych w całym mym narodzie!
Nie ma! wszyscy odemnie rozgrzeszenie wzięli!
Na, weź to przyjacielu! ja to daję tobie,
Com mocen zamknąć usta twych oskarżycieli

Pod pieczęcią milczenia..... Proszę, dostań sobie
Szklane oczy, i jak ów mądry dyplomata,
Udawaj, że najskrytsze sprawy tego świata
Znasz i widzisz, choć nie znasz i nie widzisz wcale.
Nuż! nuż! ściągnij mi buty! mocniej! doskonale!

EDGAR.

O dziwna mieszanina rozsądku i bredni!
Rozum obok szaleństwa!

LIR.

Chcesz płakać mej doli?
To weź że moje oczy.... Znam ja cię dowoli,
Tyś Gloster. Cierpliwości! Wszakże wiesz, my biedni
Z płaczem na świat przychodzimy; ledwie w nos nam wpadnie
Powietrze, wnet już kwilim i beczym szkaradnie.
Czekaj! zaraz ci tutaj wypalę kazanie;
Posłuchajno!

GLOSTER.

O biada! o czarna godzina!

LIR.

Zaledwie się człek zrodzi już płakać zaczyna,
Widząc, że na ten wielki teatr głupców spada.
(patrzac na swój kapelusz.)
Oto mi kloc! ha! sztuka byłaby nie lada,
Gdyby to koniom z pilści porobić podkowy!..
Sprobuje..... dobry koncept przyszedł mi do głowy!

Na tych zięciów niegodnych napadnę cichaczem,
I hajże ha! bij zabij!... Obaczym, obaczym....
(wchodzi Dworzanin ze służbą.)

DWORZANIN.

Oto jest on! chwytajcie! Miłościwy Panie!
Najdroższa córka twoja....

LIR.

Co? ja mam być wzięty,
Jako jeniec? Czyż nikt tu za mną nie obstanie?!
O! nazbyt srogo igra ze mną los zacięty!..
Niechajże mnie przynajmniej nikt nie poniewiera
Hojny okup wam złożę.... Sprowadźcie felczera;
Mam ciężką ranę w mózgu....

DWORZANIN.

Wszystko tobie gwoli!

LIR.

Nikt nie broni mię! wszyscy odbiegli w niedoli!
O zaiste! człek taką przejęty goryczą,
Oczyma, jakby pełną konwią ogrodniczą,
Mógłby grędy swe polać i przybić do ziemi
Tuman pyłu, miotany wichry jesiennemi!

DWORZANIN.

O Panie miłościwy!...

LIR.

A więc zgine z chwałą!

Pójdę na śmierć jak zawsze królowi przystało,
Wesół, jak oblubieniec z tym wieńcem na głowie....
Bom ja król! wiedźcie o tem wy, moi panowie!

DWORZANIN.

Wiemy to, radzi pełnić twą monarszą wolę.

LIR.

Więc tu idzie o życie! Na to nie ma zgody!
Gdy mi chcecie je wyrzec, to mię złapcie wprzód!
Nużę więc na wyscigi! hajda za mną w pole!

(Lir wybiega słudzy gonią za nim)

DWORZANIN.

O smutku! o żałości! i najlichszy z ludzi
Widokiem takiej nędzy współczuciem obudzi,
A cóż król?! Gdzież jest słowo tak potężne, które
Ten ból wyda?! O Lirze! Hańbą i sromotą
Okryłyby dwie córki twe ludzką naturę,
Gdyby trzecia jej swoją nie zbawiła cnotą!

EDGAR.

Witaj, szlachetny Panie!

DWORZANIN.

Pan Bóg z wami, bracie!
Słucham was! mówcie, proszę, co powiedzieć macie.

EDGAR.

Prawda li, że się rychło bitwa stoczy sroga?

DWORZANIN.

Najprawdziwsza! Nowiny to wcale nie nowe,
Słyszał już o nich każdy co ma uszy zdrowe.

EDGAR.

Powiedz no mi! bądź łaskaw, gdzie zastępy wroga?

DWORZANIN.

Blisko, a w spiesznym marszu; rychło się okaże
Cała armja; o milę ztąd jej przednie strażę.

EDGAR.

Dzięki wam! to już wszystko.

DWORZANIN.

Nasza miłościwa

Królowa, choć ją ważny powód tu wstrzymywa,
Wojska swe już wysłała na wroga spotkanie.

EDGAR.

Raz jeszcze całem sercem dziękuję wam, Panie!

(Dworzanin wychodzi.)

GLOSTER.

O Bogi miłosierne! weźcie już mą duszę!
Niech nie cierpię tak długo, aż znów się pokuszę,
Za szaleńską podniętą, w przekor waszej woli,
Umrzeć, szukając końca tej swojej niedoli.

EDGAR.

Módl się, ojcze! modlitwa doda tobie siły!

GLOSTER.

Powiedz że mi wreszcie ktoś ty, Panie miły?

FDGAR.

Najnieszcześniejszy z ludzi, którego złe losy

Nauczyły pokory okrótnemi ciosy,

I który tyle widział i zaznał niedoli,

Że umie cierpieć z tymi, kogo serce boli.

Daj rękę; zaprowadzę cię w jakie bezpieczne

Schronienie tu w pobliżu.

GLOSTER.

Dzięki ci serdeczne!

O niechaj miłosierne Bogi w każdej dobie

Wszelkich łask swych hojnością błogosławią tobie!

(wchodzi Oswald.)

OSWALD.

Otóż głowa, za którą nagrodę dostaniem!

Co za szczęście! Widocznie ten twój łeb bezoki

Na to tylko stworzony, bym stanąwszy na nim

Łacniej się na szczyt szczęścia mógł wynieść wysoki.

Nuże! prędzej ty stary zdrajco nieszczęśliwy

Porachuj się z sumieniem! bo oto miecz mściwy

Już wisi nad twą szyją! (dobywa miecza).

GLOSTER.

Nie żałujże ręki!

Uderz ile masz siły! a z góry już dzięki

Najgoretsze ci składam! (Edgar zasłania Glostera).

OSWALD.

Co chłopie zuchwały!

Smiesz bronić tego starca, co już na świat cały
Obwołany za zdrajcę?! Precz! odstęp od niego,
Bo i ciebie zaraza jego nieszczęść złamie!
Puszczaj go!

EDGAR.

Mam go puścić? a tożby dla czego?

OSWALD.

Puszczaj, mówię, bo zginiesz, ty, nikczemny chamie!

EDGAR.

Ej! Wielmożny Panie! patrzcie swojej drogi!

A niech swoją spokojnie rusza lud ubogi!

Gdyby mogła mię zabić junacka przechwałka

Tobym już od dwóch niedziel leżał w zimnym grobie...

Zasię od tego starca! bo wnet próbę zrobię,

Co mocniejsze, czy łeb twój, czy ta moja pałka?

Jasno ci się tłumaczę.

OSWALD.

Precz! precz ty śmierdziuchu!

EDGAR.

Czekaj! zaraz cię tutaj zajadę po uchu!

Darmo śmigasz tym różnem! ja się go nie boję.

(Walczą, Oswald pada ugodzony kijem).

OSWALD.

Zabiłeś mię zbrodniarzu! Weźże kieskę moją,
A jeśli pragniesz szczęścia, pogrzebaj me zwłoki;
List zaś, co przy mnie znajdziesz, do hrabi Glostera,
Co Brytański huf wie dzie, odnieś bez odwołki!...
O jakże mię nie w porę nagła śmierć zabiera!...
(kona).

EDGAR.

Znam cię, podły pacholku! coś służył tak godnie
Swojej Pani, na wszelkie rozpasanej zbrodnie.

GLOSTER.

Co? zginął?

EDGAR.

Usiądź, ojcze! spocznij jeszcze chwilę.
Potrzeba mu kieszenie strząsnąć. Pismo one,
O którym mi powiadał, jeśli się nie mylę,
Korzyści może przynieść mi nieocenione.
Zginął!... żal, że ja musiał za kata mu służyć,
A nie istny oprawca!... Nuże! daj się użyć!
Ustap, śliczna pieczętka! Uciszyć się drażliwe
Sumienie! Aby wykryć wrogów swych zamiary,
Człek by gotów tak serce ich rozszarpać żywe,
A cóż więc martwy papier?! to mniej godne kary.
(czyta)

„Gdy ci nasze przysięgi nie wyszły z pamięci,
Teraz go możesz łącznie pozbyć się mój luby!

Byleby nie zabrakło odwagi i chęci
A znajdziesz czas i miejsce do stanowczej próby.
Bo jeśli on zwyciężcą powróci broń Boże,
Wtedy wszystko stracone! bo znów jego łoże,
Co mi istnem więzieniem, zajmę, niewolnica!
Spiesz więc wyrwać mię z jego uścisków męczarni,
A w nagrodę swojemi czule mię ogarnij!
Twoja (czemuż nie żona) wierna służebnica
Goneryla.“

O zgroza! jakaż w tej kobiecie
Przepaść chuci niekzemnych!... Nastaje na życie
Cnotliwego małżonka, na to, by w zamianę
Wziąć — kogoż? — mego brata! — Pójdź cielsko skalane
Podłego zausznika! tu, nad kośćmi swemi
Pomnik hańby wieczystej z nieświęconej ziemi
Usypię tych morderców cudzołożnej parze,
Coś za gońca jej służył; a niecną depeszę
W swoim czasie i miejscu książęciu pokażę,
By wiedział co dlań knują. Choć tem go pocieszę,
Że razem twoje sprawy i śmierć mu opowiem.

(odchodzi wlokąc ciało Oswalda).

GLOSTER.

Biedny król nasz szalony! O jakimże zdrowiem,
Jaką siłą upartą Nieba mnie nadały,
Ze dotychczas trwam jeszcze i pojmuje cały
Ogrom swojej niedoli! O! byłbym szczęśliwszy,

Gdybym również oszalał! może by w tę porę
Zapomniały boleści moje myśli chore!
Bo człek traci i czucie, rozum utraciwszy.

EDGAR (powraca).

Pójdźmy! głos trąb bojowych słyszę niedaleki;
Chcę ci, ojcze, przyjaźnej poszukać opieki. (wychodzą).

Scena 7.

Namiot w obozie francuzkim.

Lir uspiiony na łożu, Lekarz, Dworzanie i Słudzy).

WCHODZI KORDELJA i KENT.

KORDELJA.



mój Kencie! pracować będę całe życie,
Aby ci się wywdzięczyć za twoje przywiązanie!
Ale pono i środków i życia nie stanie,
By to, coś dla nas cierpiał, spłacić należycie.

KENT.

Pani! to co powiadasz, już mi jest zapłata,
Większą, niżlibym kiedy mógł zasłużyć na to!
Com zaś mówił, to wszystko prawda czysta, szczerą,
Nic w niej nie brak, ni nadto nic się nie zawiera.

KORDELJA.

Wdziej swe szaty właściwe, bo tym cudzym strojem
Zbyt bolesne wspomnienie budzisz w sercu mojem...
Zrzuć go!...

KENT.

Wybacz mi pani! tak chcą moje plany
Abym jeszcze czas jakiś pozostał nieznany.
I za łaskę to sobie prawdziwą policzę,
Jeśli raczysz spoglądać na moje oblicze,
Jak na obce, aż znajdę sam właściwą porę,
Gdy i suknię i postać własną znów przybiore.

KORDELJA.

Zgoda więc, dobry Panie! (do lekarza)

Jakże się król miewa?

LEKARZ.

Dotąd jeszcze uspiony, Pani miłościwa.

KORDELJA.

O Bógi litościwe! ach zleczcie tę ranę,
Której bolem się truje to serce stargane!
I jak minstrel, fałszywie brzmiące, arfy strony
Z rozstroju w harmonijne znów nastraja dźwięki,
Tak wy zgodę wprowadźcie w umysł rozstrojony
Pod gwałtownemi ciosy ciężkiej nieszczęść ręki!
O drogi mój! o biedny ojciec zdzieciniąły!...

LEKARZ.

Będzie li w tem królewskiej Waszej Mości wola
Aby zbudzić nareszcie uspionego króla?
Bo od kiedy spoczywa czas minął nie mały.

KORDELJA.

Niech w tem waszej nauki rządzi wami władza,

Czyńcie jako wam rozum zgodny z nią doradza...
Azali go przebrano?

DWORZANIN.

Tak jest Pani! w chwili,
Kiedy usnął najmocniej, myśmy nań włożyli
Świeże szaty królewskie.

LEKARZ.

Najjaśniejsza Pani!

Chciej być tuż gdy go zbudzim. Myśmy przekonani,
Że umysł jego całkiem snem tym ukojony.

KORDELJA.

Dobrze.

LEKARZ.

Racz też przystąpić, Pani miłościwa!
Bliżej! Niechaj tam głośniejsz muzyka przygrywa.

KORDELJA (przystąpiwszy do króla schyla się
nad nim i całuje go).

O mój ojczy najmiłszy! niech na usta moje
Cudowne spłyną z Nieba uzdrowienia zdroje,
Niech je mój pocałunek przeleje w twą duszę!
Niech w niej one złagodzą te straszne katusze,
Co me siostry miłości i czci twej zadały!

KENT.

O królowo! dobroci niezrównany wzorze!

KORDELJA.

Gdyby nawet ich ojcem nie był, czyż nie może
Pobudzić do litości przez ten włos swój biały?
Tejże to drogiej głowie, co jej za obronę
Nie starczy ten hełm słaby, odpierać szalone
Gwałty wichrów i straszne groty piorunowe,
I ognie nieścignionych błyskawic krzyżowe?!
O biedna! opuszczona ty dziecino droga!
Ach! u mnie owej nocy i pies mego wroga,
Choćby nawet mnie samą zranił wściekłym pyskiem,
Znalazłby pewno miejsce przed ciepłym ogniskiem;
A ty, ojcze najmilszy! one cię zmusiły
Z wieprzami i z motłochu najnędzniejszym brudem
W lichej budzie zalegać mokry barłóg zgniły!
O mój Boże! o Boże! cudem tylko, cudem,
I życie w nim z rozumem razem nie skonało!...
Ocknął się!... niech przemówi kto doń!

LEKARZ.

Pierwsze słowo

Najlepiej gdy usłyszysz z twoich ust królowo!

KORDELJA.

O królu mój i Panie! jakże ci w tej chwili?!

LIR.

Nacóżście mię z grobu mojego dobyli?!...

Tyś duch błogosławiony, ałem ja, łańcuchem

Uwiązany do koła, co się ogniem żarzy!

A jak ołów kipiący płyną mi po twarzy

Łzy moje!...

KORDELJA.

Znasz mię Panie?

LIR.

Znam ty jesteś duchem;

Dawnoś umarł?

KORDELJA.

Trwa jeszcze smutne obłąkanie!

LEKARZ.

Zaledwie się ocucił... chwilę niech zostanie

Sam z sobą.

LIR (spoglądając ze zdumieniem do koła).

Gdzie ja byłem? gdzie jestem?! o Bogi!

Jakto?! blask że to dzienny oczy moje pieści?

Ach! jeżeli to złuda!... skonałbym z boleści,

Widząc, że kogoś spotkał zawód taki srogi!...

Chciałbym wierzyć że prawda, i wierzyć się boję!...

Czyż to własne me ręce?... spróbujmy! ha! przecie

Czuję ból! o! na jakim, na jakim ja świecie?!

KORDELJA (rzucając się przed nim na kolana).

O Panie! spojrzij na mnie! podnieś ręce swoje

Pobłogosław mi!

... (Lir chce klęknąć przed nią).

Panie! Panie! nie czyni tego!

Tobież klękać przedemną?!

LIR.

O! nie szydźcie proszę!
Nie szydźcie z niedołęztwa starca nieszczęsnego!
O! bom ja bardzo stary! już na barkach noszę
Ośmdziesiąt lat z górą! a mówiąc wam szczerze,
Nie wiem, zali mój rozum dzisiaj w pełnej mierze?
Zda mi się, że znam ciebie i tego człowieka,
Ale wątpię, bo nie wiem, gdzie jestem w tej dobie?
I za nic nie potrafię dziś przypomnieć sobie,
Zkąd się wzięła ta suknia, która mię obleka,
Ni, gdzie była przezemnie przeszła noc spędzona?...
O! nie śmieJCie się ze mnie! ale, jakim człowiek,
Mojem dzieckiem, Kordelja, zdaje mi się ona!

KORDELJA.

Tak! ja sama! ja sama!

LIR.

Łzy ci płyną z powiek?

(dotykając się ręką jej twarzy).

Prawda, mokre... Proszę cię, nie płacz! lepiej oto
Daj mi, gdy masz, trucizny! wypiję z ochotą...
Wiem, że ty mnie nie kochasz... Twe siostry, ladaco,
Skrzywdziły mię, pamiętam, choć nie miały za co,
A ty masz...

KORDELJA.

Nie mam! nie mam! Panie mój jedyny!

LIR.

Gdzie jestem ? czy we Francji ?

KORDELJA.

Sród własnej dziedziny!

LIR.

Nie zwodźcie mię!...

LEKARZ.

Ufajmy, Pani miłościwa!

Wielki szal już ustąpił, rzecz to niewątpliwa;

Lecz jeszcze niebezpiecznie umysł wąły taki

Zawracać na przeszłości nieszczęśliwej szlaki.

Do ustronnej komnaty przenieść go należy

I zostawić w spokoju, aż się nie odświeży

I nie wzmocni zupełnie.

KORDELJA.

Miłościwy Panie!

Pójdźmy ztąd, jeśli wola ?

LIR.

Nie wiem jak ci stanie

Cierpliwości, by znosić niedoleżstwo moje!...

Przebac, proszę! zapomnij!... już nad grobem stoję!

(Wychodzi Lir, Kordelja, Lekarz i Słudzy).

DWORZANIN.

Prawdaż, Panie, że książę Kornwalji zabity?

KENT.

Najpewniej.

DWORZANIN.

Któż więc stoi na czele wyprawy?

KENT.

Mówią że syn hrabiego Glostera nieprawy.

DWORZANIN.

Słyszę, prawy syn jego, Edgar, wraz z banitą
Hrabią Kentem, wygnany, w Niemczech się ukrywa.

KENT.

Tak, lecz trudno zaręczyć czy to wieść prawdziwa...
Gotujmy się do dzieła, już ciągną Brytanie.

DWORZANIN.

Krwawy pono bój będzie! Bądź zdrów miły Panie!
(wychodzi).

KENT.

Owoż kresu i końca bliskie me zamysły,
A ich losy od losu tej bitwy zawisły. (wychodzi).

Koniec aktu IVgo.

— 133 —

DWORZANIN.

Któż więc stoi na czele wypraw?

KENT.

Mówią że syn hrabiego Glostera niepraw.

DWORZANIN.

A k t V.

Obóz Brytański pod Duwrem.

(Wchodzą przy odgłosie trąb z rozwiniętymi sztandarami

Edmund, Regana, Oficerowie, Żołnierze i inni.)



EDMUND do jednego z oficerów.

Spiesz, dowiedz się od księcia, czy w tymże co wprzód
Trwa zamiarze, lub znalazł znów jakie powody
Co innego przedsięwziąć? Niech się chwiać przestanie,
I raz w końcu stanowczo swe objawi zdanie.

(Oficer wychodzi).

REGANA.
Snać jakaś się przygoda wydarzyła w drodze.

Gońcowi mojej siostry.

EDMUND.

Trwoży to mnie srodze!

REGANA.

Wiesz, jakie względem ciebie mam serdeczne plany,
Powiedzże mi, lecz szczerze, Edmundzie kochany,
Wyznaj mi całą prawdę: kochasz Gonerylę?

13

EDMUND.

Czczę ją tylko jak wierny sługa.

REGANA.

Tylko tyle?

A nie znalazłeś czasem drogi w ową stronę
Kędy wnijscie mężowi tylko dozwolone?

EDMUND.

Co za myśl!

REGANA.

Ejże! pono jużście związani
Najściślejzemi węzły!

EDMUND.

Nie, na cześć mą Pani!

REGANA.

O! nie zniosłabym tego! proszę cię, mój drogi,
Mniej bądź z nią poufałym!

EDMUND.

Zbądź się, Pani, trwogi!

I ona, i małżonek jej, książę Albanji....

(Wchodzi ks. Albanji, Goneryla i żołnierze.)

REGANA (n. s.)

O! niechaj raczej ujrzę zwycięskie oręż
Moich wrogów, wprzód, niżeli ta siostra rozprzeże
Związek nasz!

KS. ALBAŃSKI.

Z serca witam ciebie, siostró miła!

(do Edmunda).

Panie, wieści mię doszły, że król, jak i owi,
Których wasza surowość na nas oburzyła,
Ku swej córki Kordelji ruszył obozowi.
Tam tylko bywam mężny, gdzie się czuję prawy;
I jeżelim się do tej skłonić dał wyprawy,
To z tą tylko, że Francuz śmiał najść moje kraje,
Ale przeciw królowi, ja wcale nie staję,
Ani przeciw tym, którzy bronią go w tej dobie,
A których z własnej winy mamy przeciw sobie

EDMUND.

Szlachetne są twe słowa, Miłościwy Panie!

REGANA.

Ku czemuż niedorzeczne to zmierza kazanie?

GONERYLA.

Myślmy raczej, jak zgodnie wrogom złamać karki;
Nie czas dziś na domowe zajścia i poswarki!

KS. ALBAŃSKI.

Pójdźmyż wezwać do rady wodze doświadczone,
By obmyślić skuteczny atak czy obronę,

EDMUND.

Niezwłocznie i ja w waszym namiocie się stawię.

REGANA.

Siostro! a ty, czy z nami?

GONERYLA.

Nie.

REGANA.

W tak ważnej sprawie

Chciałażbyś nas odstąpić? mamyż radzić sami?

Pójdź!

GONERYLA (n. s.)

Znam ja tę zagadkę! (gł.) Dobrze! idę z wami.

(w chwili kiedy się mają ku wyjściu nadchodzi Edgar przebrany.)

EDGAR (do ks. Albanji.)

Gdybyś Wasza Wysokość nie wzgardził rozmową
Z takim jak ja biedakiem, to śmiałbym rzec słowo,
Wielkiej wagi dla ciebie, Miłościwy Książę.

KS. ALBANJI (do otaczających.)

Chciejcie mię tu zostawić; wnet za wami zdążę.

(do Edgara.)

Mów!

(Goneryla, Regana i Edmund wychodzą.)

EDGAR.

Wprzód, nim bój stoczysz, zechciej, dobry Panie,

Obaczyć, co też mieści w sobie to pisanie.

(podaje list)

Gdy zwyciężysz, każ, niechaj Herold w róg uderzy,
A ten, co ci je podał, natychmiast przybieży,
I, jakkolwiek z pozoru zda się znaczyć mało,
Postawi ci rycerza, co, jako przystało,
Z mieczem w ręku dowiedzie, że jest prawda szczerą
Wszystko, co ten zdradziecki list w sobie zawiera.
Gdy będziesz zwyciężony, ziemskie dla cię sprawy
Już się skończą, a z niemi i ten zamach krwawy.
Bądź zdrów! niechaj życzliwa fortuna cię wspiera!

KS. ALBAŃSKI.

Czekaj! niech list przeczytam.

EDGAR.

To mi zakazane!

Gdy czas przyjdzie właściwy, niech Herold obwieści,
A na pierwszy głos trąby znów przed tobą stanę.

(Edgar odchodzi.)

KS. ALBAŃSKI.

Żegnaj więc! No obaczmyż jakiej ten list treści?

(wchodzi Edmund.)

EDMUND.

Panie! wróg już nadciąga! Spraw swoje szeregi
Wierni ludzie, wysłani przez nas na przespiergi,

Zdali nam z sił i liczby wrogów sprawę ścisłą;
Ale wszystko od twojej energii zawisło:

KS. ALBAŃSKI.

W czas staniemy; zastępy moje już gotowe.

(wychodzi.)

EDMUND.

Przysiągłem największą miłość siostróm obu,
Lecz którą, mam poślubić? czyli tę, czy owę,
Czyli żadnej? Zaprawdę, nie widzę sposobu,
Jak wziąć jedną, gdy obie przy życiu zostaną?
Jeśli się z owdowiałą połączę Reganą
Goneryla z rozpaczny pewno oszaleje!
Co zaś do niej, to trudno mieć jakąś nadzieję,
Póki oczu nie zamknie jej małżonek miły!
Oto więc mi na teraz dbać tylko wypada,
By mię w boju skutecznie wsparły jego siły;
A potem ona sama, gdy się zbyć go rada,
Niech dlań pewną a rychłą obmyśla odprawę.
Jego zaś owe wszystkie zamiary łaskawe,
Co mu względem Kordelji i Lira się roją;
Niechaj tylko zwyciężę, niech ich ręką swoją
Raz ujme, — łaska dla nich przyjdzie chyba z nieba,
Bo mi się nie rozczulać tylko bronić trzeba.

(wychodzi.)

Scena 2.

Plac między dwoma obozami.

(Zgiełk bojowy za sceną; przeciągają, przy odgłosie trąb, z rozwiniętym sztandarem Lir i Kordelja na czele swych zastępów.)

WCHODZĄ EDGAR I GLOSTER.

EDGAR.



u ojcie, spocznij nieco w cieniu tej drzewiny.
Módl się by dobrą sprawę wsparło ramie Boże!
Gdy wrócę toć radośnie przyniosę nowiny.

GLOSTER.

Idź z Bogiem, a niech łaska Jego cię wspomůže!

(Edgar wychodzi.)

(Za sceną zgiełk bojowy, a potem hasło do odwrotu.)

(Edgar powraca.)

EDGAR.

Uciekaj biedny starcze! daj mi ramie swoje!...

Lir pobity! z Kordelja pojmani oboje!...

Spieszmy!... podaj mi rękę!...

GLOSTER.

Nie, tutaj zostanę!

I tu może grób znaleźć ta nieszczęsna głowa!

EDGAR.

Co? czy znowu te myśli! znów te grzeszne słowa?!

Śmierć nam daną być musi, jak i życie dane;

W swej się porze człek rodzi, w swej porze umiera,
Bo wszystko dojrzeć musi. Pójdź!

GLOSTER.

Tak, prawda szczerą!

(wychodzą.)

S c e n a 3.

Obóz brytański pod Duwrem.

(Wchodzi Edmund w tryumfie na czele swoich hufców, z rozwiniętym sztandarem, przy odgłosie trąb, prowadząc jako jeńców Lira i Kordelję! z nim Oficerowie, żołnierze i t. d.)



EDMUND (do Rotmistrza.)

zwać ich z tąd i orężną zabezpieczyć strażą,
Za nim się, jak przystało, losy ich rozważą.

KORDELJA.

Nie my pierwsi, niestety, za najlepsze chęci
W dobrej sprawie, najgorszym ciosem dziś dotknęci!
Ale jeśli mi serce krwawi się i boli,
To jedynie za twoje, królu, poniżenie;
Sama mogłabym szydzić z szyderstwa, złej doli!...
Nie ujrzymyż tych córek i tych sióstr?

LIR.—

Nie! nie! nie!

Pójdźmy! niech nas prowadzą, gdzie nasze więzienie.
Tam, my dwoje samotni, mimo nasze pęta,

Spiwać będziem, jak w klatce te Boże ptaszęta....
Gdy mi rzekniesz: Błogosław! padnę na kolana
I zawołam: O przebacz, córko ukochana!
I tak sobie żyć będziem, słodząc gorzkie chwile
Pieśnią, rzewną modlitwą, baśnią starej daty;
I z uśmiechem spoglądać będziemy przez kraty,
Jak na słońcu złociste migają motyle,
I słuchać, jak uliczna gawiedź pod oknami
Dworskie sobie ciekawe wieści opowiada,
A czasem z nią gawędką bawić się i sami,
Pytać z kim zysk, z kim strata? kto się wzniósł, kto spada?
I jakby Boże szpiegi, postanowim sobie
Najskrytsze tajemnice poznać doskonale
I tak wieku dożyjem w tym więziennym grobie,
Obojętnie z tą patrząc na owe igrzyska,
Gdzie tłumy śmiertelników wrą, jak morskie fale,
Co je księżyc to piętrzy, to znów na dół ciska!

EDMUND.

Wyprowadzić ich! prędejj!

LIR.

Na ołtarz, gdzie płonie
Taka święta ofiara, samych Bogów dłonie
Sypią wonne kadzidło.... — O moja Kordeljo!
Mam cię wreszcie! ha! niechże teraz nas rozdzieli!
Chybaby na to głównię rozżarzoną z nieba
Porwać, i strasznym ogniem, jak dzikie zwierzęta

Z głębi nory, ze świata nas wypłoszyć trzeba!
Nie płacz, droga dziecino! otrzyj swe oczęta!...
Wprzód zaraza im cielsko i kości roztoczy,
Nim nam bodaj łzę jedną wypędzą na oczy!
Wprzód z głodu wyzdychają!... Pójdźmy!
(wychodzi Lir z Kordelją.)

EDMUND (do Oficera.) Kapitanie!
Pójdź tu! słuchaj! idź z nimi, weź z sobą tę kartę...
Wzniosłem cię, wzniosę wyżej, jeśli będziesz w stanie
Spełnić moje zlecenia w pisnie tem zawarte.
Wiedz, że rozum do czasu stosować się każe,
A czułość nie powinna chodzić z mieczem w porze,
Do namysłów nie pora w tej ważnej potrzebie,
Którać zlecam; mów! albo spełnisz co do joty,
Albo losu gdzieindziej idź szukać dla siebie.

OFICER.
A więc spełnię, mój Panie!

EDMUND.
Spiesz że do roboty,
A skoro jej dokonasz, to powinszuj sobie.
Baczże! mówię: natychmiast! i to w tym sposobie,
Jak tem pismem zalecam.

OFICER.
Gdyby mi wypadło
Wóz ciągnąć, albo owies spożywać za jadło,

Nie zdołałbym; lecz jeśli to ludzka robota,
To niechaj się już Waszmość o nią nie kłopotat

(Oficer wychodzi.)

Odgłos trąb: wchodzi ks. Albański, Goneryla, Regana, Office-
rowie, Dworzanie i t. d.

KS. ALBAŃSKI (do Edmunda.)

Wykazałeś dziś Panie, swą waleczność całą,
Los ci sprzyjał i świetną cię uwieńczył chwałą;
Ci co przeciw nam wyszli napastniczym bojem,
Lir z swą córką Kordelją są w pojmaniu twojem,
Owoż masz w nasze ręce wydać ich niezwłocznie,
A nasza sprawiedliwość sobie z nimi pocznie,
Jak osądzi za słuszne wedle ich przewiny,
Zgodnie z prawem i dobrem tej naszej krainy.

EDMUND.

Mniemam, iż lepiej będzie, Miłościwy Panie.
Gdy nieszczęsny król stary w więzieniu zostanie,
Pod strażą przyzwoitą... Jego wiek uroczy,
A bardziej jego tytuł; bez wielkiego trudu,
Może rychło ku niemu skłonić serce ludu,
I ostrza naszych włóczyń nam obrócić w oczy,
Nam, swym Panom... Toż mając na względzie
Zatrzymam i królowę... można wszakże będzie
Jutro, lub nieco później, stawić ich oboje
Tam, gdzie Panie, sprawować zechcesz sądy swoje.
W tej chwili znój gorący, krew z nas jeszcze płynie,

Przyjaciół po straconym płacze przyjaciółu.
I na razie, boleści swej świadom jedynie,
Klnie wojnę, choć w najświętszym podniesioną celu;
Sprawa zatem Kordelji i jej ojca, może
Odroczoną być nieco ku właściwszej porze.

KS. ALBAŃSKI.

Za pozwoleniem Panie! wiedz, że w tej potrzebie
Za sługę, nie za brata swego liczę ciebie.

REGANA.

Zależy od to tego, na jakim go szczycie
Moja łaska postawi! I, nimeś się Panie.
Tak daleko zapędził, było przyzwolicie
Mnie się wprzódzy zapytać, jakie mam w tem zdanie?
On mym wojskom hetmanił, i w jego osobie
Jam była z moją władzą i znaczeniem całym;
Już więc z tego tytułu stanąć tuż przy tobie,
Jako brat twój, ma prawo.

GONERYLA.

Nie z takim zapalem!
Nie z twoich to faworów, tylko z własnej swojej
Zasługi, on się wyniósł tam, gdzie z chwałą stoi!

REGANA.

Przezemnie obleczone w me książęce prawa,
Przezemnie w dostojęństwie on najwyższem sprostał!

GONERYLA.

Braknie tylko, by jeszcze twoim mężem został.

REGANA.

Nieraz bywa proroctwem, co się żartem zdawa!

GONERYLA.

Hola! hola! cóż znowu ci się uroiło?!

REGANA.

Słabo mi! o! inaczej całą gniewu siłą
Dałabym ci odpowiedź na to! Goneryło!

(do Edmunda.)

Zabieraj moje wojska, i jeńce, i kraje!
Rządź niemi i mną samą! — twoje wszystko wcale!
W obec świata całego ciebie tu uznają
Swoim mężem i Panem!

GONERYLA.

Chcesz go wziąć dla siebie?

KS. ALBAŃSKI (do Goneryli.)

Sądzę że przyzwolenia nie znajdzie u ciebie?

EDMUND.

Ani u ciebie, Panie.

KS. ALBAŃSKI.

Tak, podły bękarcie!

REGANA.

Każ bić w kotły, a wystąp wszem w obec, otwarcie,
Jak dzierzyciel praw moich!

KS. ALBAŃSKI.

Stój! zaczekaj jeszcze

Niech ja wprzód sę zdanie w tej mierze obwieszczę!
Edmundzie! zdrady stanu obarczam cię winą!
Jesteś jeńcem z tą razem złocistą gadziną!
(wskazuje Gonerylę).

Co do twego żądania siostrzyczko nadobna,
Ze względu na małżonkę moją, niepodobna,
Abym na nie zezwolił; wiedz bowiem że ona
Od dawna już jest temu Panu zaręczona,
I ja, co się tytułem jej małżonka szczycę,
Zapowiedzi te wasze unieważnić muszę.
Chcesz iść za mąż, to ku mnie zwróć swą czulą duszę
Gdy on sobie zaswatał moją połowicę.

GONERYLA.

Krotochwila!

KS. ALBAŃSKI.

Tys zbrojny; każ otrąbić, Panie!
A gdy za trzecim hasłem nikt jeszcze nie stanie
I bezecnych twych, jawnych, niezliczonych zbrodni,
Z mieczem w rękę, na gardle ci nie udowodni;
Oto własny mój zakład!

(ciska rękawicę)

Chleba nie rozłamię
Wprzód, aż tego, com tutaj ogłosił, me ramię
Nie dowiedzie nieczystą krwią twojego serca.

REGANA.

Słabo mi! słabo!

GONERYLA n. s.

Wierzę! inaczej bym rzekła,
Że już dobrej trucizny nie dostać i z piekła.

EDMUND (rzucając rękawicę).

Oto moja odpowiedź! Podły ten oszczerca,
Kto śmiał zdrajcą mię nazwać! Każ trąbić! dostoję
Każdemu choćby tobie! i jako przystało,
Od zniewagi zasłonię cześć i wiarę swoją!

KS. ALBAŃSKI

Sam tu Herold!

EDMUND.

Hej! Herold!

KS. ALBAŃSKI.

Tylkoż ufność całą
W własnem mężtwie pokładaj. Wojska twe, podjęte
W moje imię, w toż imię zostały zwinięte.

REGANA.

Ha! ból mój coraz sroższy!

(wchodzi Herold).

KS. ALBAŃSKI.

Służba! Hej, dworzanie!
Do namiotu mojego przenieść księżną Panię.
(Dworzanie wyprowadzają Reganę).

Jest Herold? Niech otrąbią! a ty weź tę kartę
I wygłoś tu wszem w obec rzeczy w niej zawarte!

OFICER.

Otrąb!

(trąba się odzywa).

HEROLD (czyta).

„Jeśli kto w wojsku, czy to urodzeniem,
Czy zasługą dostojny, zechce swem ramieniem
Dowieść, że Edmund, hrabia Gloster domniemany,
Jest zdrajcą wielorakim; niechaj na znak dany
Trzykrotnem otrąbieniem, tu mu czoło stawi;
A on z nim, jak się godzi, o cześć swą rozprawi.“

EDMUND.

Otrąb! (pierwsze hasło).

Jeszcze! (drugie hasło).

Raz jeszcze! (trzecie hasło).

(trąbka odpowiada za sceną).

(Wchodzi Edgar zbrojny, poprzedzony przez trębacza).

KS. ALBAŃSKI.

Spytaj, jak zwyczaje

Chcą rycerskie, dla czego na to hasło staje?

HEROLD.

Kto jesteś? powiedz, jakie twe imię i godło,
I poco cię tu hasło trąb naszych przywiódło!

EDGAR.

Imię moje stracone, jam z niego wyzuty
Przez zdrady najpodlejszej ostry zab zatruty;

Godnością przecież sprostam, z kim, oto w tej chwili
Chcę abyśmy tu srogi bój na śmierć stoczyli.

HEROLD.

Któż to taki?

EDGAR.

Kto jest ten, co się tutaj mieni
Edmundem hrabią Gloster? Niech wystąpi.

EDMUND.

Owo

Ja nim jestem. Cóż powiesz?

EDGAR.

A więc doładź miecza!

Jeśli duszę szlachetną zrani moje słowo,
On ci niechaj czei twojej całość zabezpiecza.
Mój dobyty; a słuchaj! Oto, wedle prawa,
Jakie stan mój, przysięga i cześć moja dawa,
Obwieszczam, żeś, pomimo swe młodzińcze lata
I stan twój i zaszczyty i dzielność swej dłoni,
Mimo dumę, i meztwo, i wawrzyn na skroni,
Tyś zdrajca w obec Boga, i ojca, i brata,
A w obec księcia Pana morderca spiskowy!
Od samego wierzchołka twojej bezecnej głowy,
Do podeszew stóp twoich i prochu pod niemi
Najohydniejszy zdrajca ze zdrajców na ziemi!
Powiedz nie! a tym mieczem, ramieniem i całą
Mocą sił mych dowiodę twojej nieszczęśliwej duszy,

Którą pewniej żelazo niż słowo poruszy,
Że kłamiesz!

EDMUND.

Sądząc zdrowo, wprzódby należało
Spytać ciebie o imię, lecz że twa postawa
Tak przystojna i dzielna, a język, choć gniewny,
Wyższego urodzenia dając pozór pewny;
Więc gardzę przywilejem rycerskiego prawa,
I co mógłbym odrzucić, przyjmuję ochoczy.
I nazad ci imieniem zdrajcy ciskam w oczy,
I kłam, coś mi go zadał, na twoje serce wałę!
A nie słowem, co błyska, lecz nie rani wcale,
Mieczem tym dla nich drogę natychmiast otworzę
Tam, gdzie je na spoczynek wiekuisty złoży.
Hasło!...

(Głos trąb, walka, Edmund pada raniony).

KS. ALBAŃSKI.

Ratujcie go! ratujcie!

GONERYLA.

Glosterze! to zdrada!

Wszak podług praw rycerskich nikt nie odpowiada
Przeciwnikom nieznany. Tyś nie zwyciężony,
Tylko niecnym, łotrowskim podstępem zwiedziony!

KS. ALBAŃSKI.

Stul pysk Pani! lub zamknę ci go ot tym świstkiem!

(do Edmunda).

Patrz tu!

(do Goneryli).

A ty! dla której język nazwy nie ma
Dość sromotnej! na czyn swój spojrz swemi oczyma!
(podaje list Goneryli).

Nie drżysz Pani!... Ha! widzę wiesz ty o tem wszystkim!

GONERYLA.

A gdy tak? wszak tu moje nie two prawo włada!
Któżby śmiał mnie tu sądzić?!...

KS. ALBAŃSKI.

O! co za szkarada

Czytaj to!

GONERYLA.

Co mam czytać, gdy znam doskonale!

(wychodzi).

KS. ALBAŃSKI (do oficera).

Za nią! strzedz jej! w rozpaczonym ztąd wypadła szale!

(Oficer wychodzi).

EDMUND.

Tak! wszystkich, coś mi zadał, jam jest winien zbrodni!
Ach! i większych! i większych! czas je udowodni!
Stało się! już po wszystkim... i po mnie!... lecz proszę,
Powiedz, z czyjej to ręki, tę karę odnoszę?
Jeśliś szlachcic, przebaczam.

EDGAR.

Niechajże wzajemnie
Będę ci miłosiernym. Krew, co płynie we mnie,
Nie jest gorszą od twojej; gdy lepszą tem srożej
Tyś mię skrzywdził, Edmundzie! Jam Edgar, syn prawy
Twego ojca! Tak z woli sprawiedliwej Bożej
Nieraz nam nasze płóche a występne sprawy
Najstraszliwszej się chłosty stają twardym biczem!
Właśnie w owem to miejscu mrocznem a zbrodniczem,
Kędy w grzechu cię spłodził, ojciec nasz, niestety,
Oczy w mękach postradał!

EDMUND.

Prawda, prawda, bracie!
Koło bieg swój skończyło i ja już u mety.

KS ALBAŃSKI (do Edgara.)

Zdaje mi się, że ledwie tylko spojrzał na cie
Już z postawy odgadłem twe królewskie cnoty!
Pójdź, daj mi się uścisnąć! A niech wszystkie groty
Boleść w serce mi wrazi, jeślim, mój Edgarze,
Ciebie lub twego ojca, przez niecne potwarze,
Miał kiedy w nienawiści!

EDGAR.

Wiem, najmiłszy Panie!

KS. ALBAŃSKI.

I gdzieżeś się obracał? i jakieś miał wieści
O rodzica twojego opłakanym stanie?

EDGAR.

Czuwając nad nim, Panie!... Posłuchaj powieści!
Gdy ją skończę, i serce niech mi pęknie w łonie!
Starając się omylić te krwawe pogonie
Co trop w trop biegły za mną z okrutnym rozkazem,
(Dziwny życia uroku! człek nieszczęsny woli
Konać z trwogi śmiertelnej, dzień za dniem, powoli,
Niżeli trwogi i życia zbyć się jednym razem!)
Nędzny żywot ratując, umyśliłem sobie
Opętańca dzikimi przystroić się godły,
I nadać taką wstrętną postać swej osobie,
Jaką by i pies nawet pewno wzgardził podły!
Takem się z ojcem spotkał i ujrzał te krwawe
Pierścienie, ukochane te drogie powieki,
Postradanych klejnotów żałosną oprawę!
I byłem przewodnikiem biednego kaleki,
Prowadziłem go, dzieląc z nim mój chleb żebraczy,
I od śmierci go strzegąc, do której w rozpacz
Rwał się biedny! A nigdy (o jakże boleję!)
Nie wydałem się przed nim; — aż dziś, w tę godzinę,
Gdy zbrojny na śmiertelne biedz mając turnieje,
Ufny, ale niepewny, zwycięzę, czy zgine,
Do nóg padłem mu, prosząc by mię błogosławił;
Raz pierwszy i ostatni wszystkom mu wyjawiał,
Całe dzieje pielgrzymki podjęte mu gwoli...
Serce jego, strzaskane ciosami niedoli,
Znieść nowego wzruszenia nie miało już siły;

A gdy radość i żałość wraz w nie uderzyły.
Pękło w błogim uśmiechu!...

EDMUND.

Żałosne twoje słowa
Poruszyły mnie, bracie, i kto wie, azali
Na dobre mi nie wyjdą?... lecz mów proszę dalej.
Zdaje mi się że w myślach ważysz treść gotową...

KS. ALBAŃSKI.

Jeśli masz rzec coś więcej, w czym jest więcej jeszcze
Beleści, stój! bo w sercu żalu już nie zmieszczę!

EDGAR.

Komu boleść nie miła, tutaj należało
Rzecz skończyć; ale innym tego jeszcze mało;
Tem żądniejszy, im więcej smutków się gromadzi,
Aż do dna w przepaść ludzkiej nędzy zajrzeć radzi!
Gdym brzemienny tym bolem łkał jękiem i płaczem,
Nadszedł człek, co mię dawniej, w mem życiu żebraczem,
Widząc w onem spodleniu, unikał ze wstrętem;
A gdy poznał, kim był ten, co z losem zaciętym
W zapasach tak się łamał; silnemi ramiony
Pochwycił mię za szyję, i żal niezmierny
Z piersi mu takim rykiem uderzył w niebiosy,
Jakby chciał je rozsadzić! Padł na martwe ciało
Mego ojca, i smutne wspominając losy
Swe i Lira, wylewał duszę rozbolełą
W tak żalosnej osnowie, jakiej nie słyszało

Ludzkie ucho na ziemi! a w ciągu powieści,
Tak się srodze rozmogły w nim straszne boleści,
Aż stróny jego życia rwały się w rozstroju!...
Róg w tem drugie dał hasło, jam skoczył do boju,
On tam został, ostatniej bliski już godziny.

KS. ALBAŃSKI.

Któż to był?

EDGAR.

Kent, mój Panie! Kent, co go bez winy
Król wywołał z ojczyzny, co z tym królem za to,
Obcą mowę przybrawszy, obcą strojny szatą,
Tułał się niepoznany, niosąc mu posługi,
Jakichby dłań nie podjął i niewolnik drugi!

(wpada Dworzanin z zakrwawionym nożem).

DWORZANIN.

Ratujcie! ach ratujcie!

EDGAR.

Kogo?

KS. ALBAŃSKI.

Mów człowiecze!

EDGAR.

Co znaczy w twojej dłoni ten nóż, co krwią ciecze?

DWORZANIN.

Gorący! dymi jeszcze!... wyrwany w tej chwili

Z serca....

KS. ALBAŃSKI.

Mówże czyjego?!

DWORZANIN.

Z serca Goneryli!

Ach! sama to wyznała, sama! siostrę swoją
Otruła!!

EDMUND.

Ta i owa śluby me słyszała,
Teraz się w jednej chwili łączym wszystko troje!

KS. ALBAŃSKI.

Czy żywe czy umarłe, przynieść tu ich ciała
Dreszczem zgrozy przejmują nas te sądy Boże,
Lecz litości w nas zbudzić widok ich nie może.

(wchodzi Kent).

EDGAR.

Oto Kent, Mości Książę!

KS. ALBAŃSKI.

Tak, on! lecz w tej dobie
Nie sposób go powitać, jak bym życzył sobie
I jak chce mieć uczciwość.

KENT.

Przychodzę przed Panem
I królem mym uderzyć pokornem kolaniem
Na wieczyste rozstanie. Gdzie on jest?

KS. ALBAŃSKI.

O Nieba!

Taż nam o tem najpierwej myśleć było trzeba !

(do Edmunda).

Mów! gdzie król? gdzie Kordelja ?!

(wnoszą zwłoki Regany i Goneryli).

Patrz, mój Kencie drogi,
Co za widok okropny !

KENT.

Cóż to jest? o Bogi !

EDMUND.

Jednak Edmund kochanym był przez te dwie siostry!

Jadna drugą otruła mej miłości gwoli,

I we własne swe serce nóż wraziła ostry !

KS. ALBAŃSKI.

Tak, zaiste!... zakryjcie ich lica.

EDMUND.

O! boli!

Boli, umrzeć tak młodo! O! wróćcie mi życie!...

Ha! chcę jeszcze wbrew własnej swej niecnej natury

Spełnić dobry uczynek... Co żywo poszlijcie...

Spiesznie tylko!... niech biegnie kto w zamkowe mury

By cofnąć, com go wydał, rozkaz na zabicie

Lira a z nim Kordelji!... Spieszcie, aby w porę!...

KS ALBAŃSKI.

W skok! w skok za nimi! biegajcie!

EDGAR.

Komuż go odbiorę?

Komu dany? gdzie dowód że z nim zaszła zmiana?

EDMUND.

Słusznieś rzekł? Weźże miecz mój i do kapitana
Odnieś go.

KS. ALBAŃSKI.

Prędeż! prędeż! prędeż, na twą głowę!

EDMUND.

Ja wraz z twoją małżonką daliśmy mu skrycie
Rozkaz, aby w więzieniu powiesił królowę,
Niby sama w rozpacz skróciła swe życie.

KS. ALBAŃSKI.

O Bogi! niech ją wasza zachowa opieka!

(do sług.)

Hej! wynieście na chwilę z tąd tego człowieka.

(Edmunda wynoszą.)

(Wchodzi Lir niosąc w objęciach zwłoki Kordelji.)

(Edgar, Oficerowie i inni.)

LIR.

Wyjcie! wyjcie! a wyjcie!.... wy, ludzie z kamienia!

Ha! gdybym miał wasz język! gdyby oczy wasze,

Tobym niemi tych niebios zdruzgotał sklepienia!

Ach! na wieki! na wieki zgasło biedne ptasze!..

Ja wiem dobrze, co żywy, co martwy!... O Boże!

Ona martwa jak ziemia!... Dajcie mi zwierciadła!

Niech je do tych jej zimnych usteczek przyłożę!

Gdyby na szkło mgła lekka od jej tchnienia padła,

Byłby to znak że żyje!

KENT.

Czy to jest straszliwa
Ostatnia chwila świata?

EDGAR.

Czy jej przedstawienie?

KENT.

Padnij i umrzyj!

LIR.

Patrzcie! żywa! żywa! żywa!

Puch ten zadrżał!... O nieba! to było jej tchnienie!..

O gdyby tak!.. ach! cały życia ból niezmierny,

Całą nędzę okupić byłoby to w stanie,

Jakiej tylko doznałem!

KENT.

O mój miły Panie!

LIR.

Odstap, proszę!

EDGAR.

To, panie, Kent, twój sługa wierny

LIR.

Zginięcie zdrajcy! mordercy wy wszyscy! ach! ona

Mogłaby być przezemnie jeszcze ocalona!..

Teraz po niej na wieki!... O! zaczekaj chwilę!..

O Kordeljo!... Co mówisz?.. aah! jej głos tak mile,

Tak słodko, tak łagodnie do serca przenika!

Jak z tem pięknie niewieście!... Zabiłem nędznika
Co ją wieszał!...

EDGAR.

Zaiste on go zabił, Panie!

LIR.

Prawda, bracie? Ha! znałem niegdyś czasy dobre,
Że kiedy miecz swój w dłonie pochwyciłem chrobre
Cały tłum ich wnet pierzchał karku na złamanie!...
Ale dzisiaj jam stary; wiek i trosk nawaly
Do ostatka z dawniejszych sił mię już obrały!...
Kto jesteście? powiedzcie; bo, wyznam wam szczerze,
Że sam już niedołężnym oczom swym nie wierzę.

KENT.

Jeśli może fortuna popisać się płocha,
Z dwoma, z których jednego nadewszystkich kocha,
Drugiego nienawidzi, tu jednego mamy!

LIR.

O! to jest smutny widok! — Czyś ty Kent?

KENT.

Ten samy!

Kent, twój sługa! A gdzież twój Kajus, Panie miły?

LIR.

O! był to zuch! dać mogę na to słowo swoje!
Tęgo bił! ale umarł i kości już zgniły!

KENT.

Nie, Panie! ja to właśnie co przed tobą stoję,...

LIR.

Obaczym.

KENT.

Ja tym człkiem, co gdy przeciw tobie
Złe się losy sprzysięgły, w bolu i żalobie
Szedłem krok w krok za tobą.

LIR.

Witaj, gościu miły!

KENT.

Gościu! o! nie! od kiedy tu się rozgościły
Śmierć i rozpacz, nikomu milej tu gościny!..
Dwie starsze twoje córki, za swe ciężkie winy
Same się osądziły i śmiercią straszliwą
Zginęły!

LIR.

Tak.... tak mi się zdaje...

KS. ALBAŃSKI.

Jako żywo

I z oczyma i z myślą i z mową mu ciemno!
Próżno doń się odzywać.

EDGAR.

Niestety, daremno!
(wchodzi Oficer.)

OFICER.

Panie! Edmund nie żyje!

KS. ALBAŃSKI.

Fraszka to w tej chwili!

Niechaj wam tu oznajmię, przyjaciele mili
Swe zamiary. Na jaką starczą siły człeka,

Najtkliwsza tej czcigodnej ruinie opieka
Zapewniona już z góry. Ja swą władzę złożę
W jego ręce, dopóki miłosierdzie Boże
Dostojnemu starcowi dozwoli żywota,
Niech sam włada jedynie. A wam się zastrzegą
Z dawnem prawem zaszczyty, jakiegoście godni.
Niech odbierze nagrodę mych przyjaciół cnota,
Niech wrogi spełnią gorzki kielich swoich zbrodni.....
Patrzcie! patrzcie!... (wskazując na Lira.)

LIR.

I błazna powiesili mego!
Nie! nie! nie! nie ma życia!... Czemuż mają życie
Lada pies, koń, szczur podły, a ty, drogie dziecko,
Ani tchu!... nie odpowiesz mi na me wołanie,
Nigdy! nigdy! ach nigdy!... Proszę, odepnijcie
Tę pętlę... tak, dobrze... dziękuję ci Panie!...
Czy widzicie to?! patrzcie! patrzcie! czy widzicie?!
Jej usta!! patrzcie! patrzcie!!.... (kona.)

EDGAR.

Kona!.. Panie! Panie!

KENT.

Pękniń serce! o błagam, pękniń serce we mnie!

EDGAR.

Panie mój! podnieś oczy!

KENT.

Nie dręcz jego duszy,
Niech odejdzie w pokoju! Nie wołaj daremnie!

Wierz mi, przeklnie on tego, co go z grobu ruszy,
Na to, by, rozpiętego na tortury kole
Jeszcze dłużej zatrzymać na tym łożu padole.

EDGAR.

Skonał już!

KENT.

Dziw, że wytrwał tak długo w tej mecie!
Żył gwałcąc prawa śmierci.

KS. ALBAŃSKI.

Weźcie go na ręce,
Wynieście i te zwłoki.... A nam już w tej dobie
Nie, jak tylko się oddać powszechnej żałobie!
(do Kenta i Edgara.)

Przyjaciele mej duszy! wy obaj, kochany
Kraj ten wzięwszy w opiekę, leczcie jego rany.

KENT.

Panie! mnie już się rychło czas sposobić w drogę!
Owo Pan mój mię woła! *nie* odrzec nie mogę.

KS. ALBAŃSKI.

Musim, czasów tych smutnych ulegając sile,
Mówić to, co czujemy, nie zaś co się godzi.
Starzy wiele przetrwali! a my, cośmy młodzi,
Ani ujrzym już pewno, ni przeżyjem tyle!

Koniec

Muzeum Biblioteka

im. Józefa W. Cieskiego

ul. Staszica 6; - tel. 251

L. P-27559

Ro

mylu

-1606v



SDh-1137





